Nr. 7. Lwow, dnia 10. lipca 1894. Rok XVII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Łowiectwo na powszechnej Wystawie krajowej.

II.

Pawilon łowiecki musi z natury rzeczy łączyć w sobie piękno z pożytkiem, rzeczy ozdoby z rzeczami wiedzy łowieckiej, a bystrego oka znawcy potrzeba na to, aby znaleść granicę, gdzie ornament się kończy, a przedmiot nauki zaczyna. Tam, gdzie zwyczajny śmiertelnik napawa jedynie wzrok ponętami kształtów, barw i ugrupowania — oko badacza odkrywa zjawisko ciekawe, niezwykłe, i wtedy kończy się rozkosz patrzenia, zabawa, a następuje sąd badawczy — nauka.

Ludzie nie mający nic wspólnego z łowiectwem, kiwają lekceważąco głowami, jeśli się mówi o rzeczach nauki w łowiectwie. W ich wyobrażeniu jestto tylko próżna latanina po polach i lasach, dogadzanie hulaszczej pasyjce, szukanie wrażeń sportowych, a w najlepszym razie pogoń za pieczenią. Tymczasem łowiec — częstokroć nie posiadający nawet żadnych naukowych podstaw przyrodoznawstwa — staje się w wykonywaniu swej „pasyjki" mimo woli badaczem przyrodnikiem; obcując bardzo blisko z naturą, wnika częstokroć o wiele lepiej w jej tajniki, niż uczony od zielonego stolika, i gdyby nie myśliwi, nie posiadałaby zoologia tego materyału, jakim rozporządza, jaki ją do rzędu umiejętności podnosi.

I oto nieodłączne od myśliwstwa badanie przyrody, zagadnienia z biologii zwierząt, z anatomii, fizyologii, patologii — nawet całkiem specyalne objawy z zakresu osteologii, histologii itd. — nasuwają się mimowoli umysłowi badacza, gdy wystawowe zbiory łowieckie przegląda, a spostrzeżenia, które stąd wynikają, to właśnie owa nauka, owa praktyczna zoologia, którą myśliwy z strzelbą na ramieniu wśród pól i lasów wertuje.

Z zamiarem naukowych zestawień, w ślad za programem łowieckiego działu, przystąpił do zebrania okazów na wystawę p. Władysław Spausta, do jego więc zbiorów zaglądniemy przedewszystkiem, chcąc czytelnika obznajomić szczegółowiej z malowniczym pawilonem łowiectwa i jego leśnem otoczeniem. Od otoczenia nawet zaczniemy, bo oto tutaj, naokoło klombu świerków, rozmieścił p. Spausta pouczającą kolekcyę szkód leśnych, zrządzonych przez zwierzynę. Widzimy tu uszkodzenia gruszki, jabłoni i wiszni przez zające, uszkodzenia dębiny przez sarny i zające, trzmieliny i sośniny przez sarny w skutek ogryzania. Dalej widzimy pnie sośniny, oczmychanej przez kozły przy czyszczeniu parostków ze scypułu i tak samo uszkodzony świerk, modrzew, olchę, dębinę, grab, łozę, tarń, świdwę, kalinę

i leszczynę. Tuż obok przedstawia się grab odroślowy w rozmaitych stadyach uszkodzony przez zające i przez sarny. Oprócz szkód przez ogryzanie i spożywanie pęków i młodych pędów, są jeszcze szkody wyrządzane przez zające wskutek samego ogryzania pędów, które zwierz potem nietknięte pozostawia. Widzimy tu zniszczenie takie na kulturach świerczyny, a także na łozach. Jest i brzost, ogryzany przez sarny i zające i noszący wyraźne ślady dawnych uszkodzeń i pokrzywionych skutkiem tego pędów, latorośle osiki, objedzone przez sarny, uszkodzenia kulturowanej dębiny itd.

Ale nietylko zając i sarna są szkodnikami lasu. Oto widzimy świerki i brzozy, wyrzucone z korzeniem wskutek buchtowania dzika, modrzew odarty przez odyńca wskutek czuchrania się i 7 świerków odartych w ten sam sposób z kory i miazgi.

Na pracowitym tym zbiorze, który zwyczajnemu przechodniowi przedstawia się w formie pospolitych łomaków, śledzi leśnik i myśliwy całe abecadło szkód, uczy się je rozpoznawać i zapobiegać zniszczeniu, gdyby miało przybierać większe rozmiary.

Dalszą zasługą p. Wł. Spausty jest przyozdobienie pawilonu w siadła ptaków i przedstawienie ich gniazd z jajami. Niestrudzony zbieracz, przygotowując swe okazy dla Wystawy, miał wprawdzie do walczenia z zajadłością najdrobniejszej zwierzyny, na którą proch i ołów na nic się nie przydaje — z myszami, które mu jaja z niejednego gniazda wyjadły; cóżkolwiekbądź zostało ich jeszcze bardzo wiele i stanowią dziś nieoszacowaną ozdobę łowieckiego pawilonu.

Widzimy więc tutaj gniazdka drobnych śpiewaków i łuszczaków jak: kosa, drozda, kwiczoła, srokosza, ciernioskręta, grabołuska, rudnika, pokrzewki, świergotka, skowronka wróbla, trznadla, dzierzby, pokląskwy, wilgi — dalej wielce ciekawe gniazdo pliszki siwej z jajem kukułki, którą wystawca na gorącym uczynku podrzucania jaja przychwytał — nareszcie gniazda większe i jaja kuraków, ptactwa błotnego i wodnego, jak: przepiórki, chruściela, wodnika, kurki wodnej, zielonki, kaczki krzyżówki, rybołówki czarnej, jaja cyranki i cyraneczki, łyski, perkoza dwuczubnego, gniazda sojki, turkawki, czajki, sroki, wrony i inne.

O innej części wystawy tego samego niezmordowanego zbieracza, wspomnielismy już w pierwszym naszym artykule. Mamy tu na myśli zbiór odchodów zwierząt łownych. Są tu odchody zimowe dzika, lisa, zająca, odchody sarny w rozmaitych stadyach jej życia, bobki zajęcze po zejściu śniegów z ozimin i dzięgwie niektórych ptaków drapieżnych. Szkoda tylko, że tego za mało, i że tym nieomylnym świadkom pobytu zwierza w kniei, które każdy myśliwy powinien znać i umieć rozpoznawać, nie towarzyszą jeszcze odciski tropów, należące także do owego alfabetu, od którego nauka łowiecka się rozpoczyna. W ogóle na zbiory rzeczy systematycznych, umiejętnych, najtrudniej się było zdobyć naszej wystawie, i mimo wysileń i prawdziwie obywatelskiej gorliwości instalatorów, nie dało się wyszukać odpowiednich okazów po zbiorach prywatnych, a trzeba było chyba urządzić laboratoryum, ażeby je specyalnie dla wystawy sporządzić.

Zato część etnograficzno-łowiecka skompletowała się tak jak rzadko, a duża część zasługi w tej mierze przypada również p. Spauście. Dzięki jego poszukiwaniom pomiędzy ludem zyskała wystawa malowniczy i pouczający zbiór myśliwstwa ludowego, dzikiego i kłusowniczego. W grupie tej, umieszczonej przeważnie około głównego wchodu, widzimy stępicę na wilka, skrzynki na wydry i lisy, na kuny i tchórze, samołapkę t. zw. „tłuczkę“ na tchórze i kuny, łapkę prężynową na tchórza, sidła prężynowe na łasice, sidła druciane i sznurkowe na zające, siłka t. zw. „perewisy“ na dubelty, sidła z włosienia na ptactwo błotne, „syłci“ także wnyki, cewki albo prężyny na kaczki i cyranki, „perewisy“ łukowe na ptaki drzewne, perewisy trójkątne, sidła na skowronki, przepiórki i kuropatwy, perewisy na bekasy z samego włosienia — i w ogóle całą armaturę przemyślnego chłopa-kłusownika, szczególnie z okolic naddniestrzańskich.

Niemniej bogatą jest kolekcya przyrządów do dzikiego rybołowstwa. Przeróżne saki, więcierze i podrywki na ryby, „kozulka“ do połowu szczupaków, oście na szarany i szczupaki, do polowania w czasie tarła lub przy świetle z czółna, „werszka“ i torba na piskorze, poprzeczki i przestawki do zastawiania wód, wędka do łowienia maryn, oście do chwytania sumów, kosze na ryby, „hrap“ do pędzenia ryb pod lodem, „hobid“ do łowienia w rowach i inne złożyły się tu na wielce urozmaicony obraz.

Figura kłusownika (manekin) wygląda wśród tego wszystkiego bardzo malowniczo, a liczny, bo do 100 sztuk liczący zbiór palnej broni kłusowniczej, uzupełnia zbiór ten znakomicie. Tu już nietylko gorliwość prywatna, ale i współdziałanie władz przyczyniło się do zebrania rzeczy bardzo charakterystycznych. Za inicyatywą dyrekcyi Wystawy i przyzwoleniem namiestnika, zesłały tu różne starostwa broń skonfiskowaną kłusownikom, która skazana na pokruszenie, zdobi tymczasem kolumny i ściany pawilonu łowieckiego. A cóż to za okazy, jakaż to proweniencya, począwszy od dawnych skałkówek i janczarek, aż do giwerów przedpotowych wojska liniowego, żandarmeryi i pistoletów kawaleryjskich! Broń łamana w połowie, o częściach łatwo rozbieralnych, aby ją módz schować po kieszeniach, wiązana drutami, lutowana w przedziwny sposób, z zamkami i zatrzaskami oryginalnej inwencyi — stanowi tu zbrojownię *sui generis*, do której amator może się naprawdę zapalić. Kaganiec, jak gdyby kuty przez troglodytów, a przeznaczony na światło do połowu ryb na rzekach i świder do wykręcania świstaków w czasie snu zimowego, sterczą nad tem wszystkiem jako dwa oryginalne w swym rodzaju unikaty.

I jakaż to przestrzeń — mimo jednego kraju i jednego czasu — dzieli ten arsenał od owej prześlicznej, czarnej i dźwirowanej broni, która w gablotkach D z i k o w s k i e g o błyszczy, nęcąc wzrok ku sobie. Szukając gry gwałtownych kontrastów odwróćmy się i przeglądnijmy te szeregi broni najnowszej konstrukcyi.

Przedewszystkiem oddajmy poklask zasłużonej firmie rusznikarskiej, iż wystawiła 20 sztuk broni złożonej i wykonanej we własnym warsztacie. Nie mówi się tu o lufkach, bo tych w obec precyzyi fabrycznego wyrobu firm światowych, żaden rusznikarz dziś wykonywać nie może; całe wszakże adjustowanie broni, konstrukcya zamków, łoża i w ogóle smak urządzenia, to zasługa krajowego warsztatu.

Widzimy tu lankastrowki cal. 16, choke-bory z lufami Bernarda i Crolla, tak zwane „Fusil-plume“ do polowań błotnych, z ujęciami pistoletowemi, z zamknięciem luf Grenera, istne cacka, lekko zbudowane. Dalej stoi pięć lankastrówek cal. 12 z damastowemi lufami Crolla lub ciemno zapuszczone z lufami Bernarda. Dwie z nich mają lewe lufki choke-bored, u innych dwóch są lewe lufki choke-full, dające się używać i do kul. Te ostatnie są tylko w półgotowym stanie dla okazania dokładności roboty. Zamknięcia są w nich poczwórne Grenera lub potrójne z przedłużoną szyną pod prawym kurkiem (Side-lever), albo zamknięcie Scotta. Broń to wyborna do polowań w polu i w kniei.

Inna lankastrówka cal. 10 z lufami *Damast anglais*, lewka choke-bored, z 5-razowem zamknięciem Grenera, łoże

z poduszką i kapą gumową, przednia część łoża do odejmowania, z kluczem francuskim, służy do polowań na grubą zwierzynę, niemniej na dropie, gęsi i kaczki z większej odległości.

W dalszym ciągu mamy jeszcze dwa sztućce i 9 trzylufków. Jeden sztuciec podwójny (*Double-express*) cal. 360 tj. 9 milimetrowy, o lufach ze stali dekarbonizowanej, kręto ciągnionych o $1^1/_4$ obrotu, ma zamknięcie potrójne, przednią część do odejmowania i kapę na 4 rezerwowe naboje. Cała waga sztućca 4 kilogramy. Broń ta, należycie wypróbowana, służy do polowań na dzika, jelenia, głuszca, dropia i td. Drugi sztuciec cal. 28 *(rifled)*, ma lufy stalowe z gwintami o całym obrocie, zastósowany do kul stożkowych ekspanzywnych. Służy tylko do polowań na grubego zwierza.

Pomiędzy trzylufkami jest jeden cal. 12, inne cal. 16. do kul i śrutu t. z. „Universal", ze spodnią lufą gwintowaną do kul, ostrzelane do 200 kroków. Lufy są Crolla lub Bernarda, zamknięcia przeważnie Grenera, w szczegółach konstrukcyi różniące się jednak między sobą. Jeden z trzylufków, z lufami Bernard Imperial, jest o tyle nowością, że trzecią lufę stalową (cal 450·60) ma na wierzchu ułożoną. Wszystkie mają łoża z pistoletowem ujęciem, poduszki i kapy gumowe, nie mówiąc już o delikatnych grawirowaniach, któremi wszelka broń p. Dzikowskiego gustownie jest przyozdobiona.

Pieścidełkiem formalnem, które w całości warsztat p. Dzikowskiego na Wystawę wyrobił, są kapslowe pistolety tarczowe (cal. 9 milim.), najcelniej ostrzelane, z lufkami cyzelowanemi i inkrustacyą złotą w stylu renesansowym, a z rzeźbionemi łożami orzechowemi.

Oprócz broni własnej wystawił również p. Dzikowski celujące okazy broni H. Piepera z Liege i W. Collatha przedtem G. Teschnera z Frankfurtu. Są tu konstrukcye najnowsze, mało dotąd znane.

Broń Piepera t. z. „Fusil Diana" różni się od innej broni tem, iż lufy jego dubeltówek nie są spajane mosiądzem, lecz łączone za pomocą pierścieni w górze i w dole. Najnowsza z jego lankastrówek jest „Fusil-Diana Hamerles" cal. 16 z lufami Crolle-Damast, i zamknięciem poczwórnem Grenera. Ulepszeniem w tej lankastrówce jest to, że zamki nie naciągają się przez zginanie luf, lecz za pomocą dźwigni, umieszczonej z lewej strony łoża tuż pod lufami obok cynglów. Oba zamki naciąga się jednocześnie, a dogodność leży w tem, że strzelbę można nosić nabitą, a kurki naciąga się i spuszcza przy nabitej strzelbie bez niebezpieczeństwa.

Spotykamy się wreszcie z „mitrajlezą" myśliwską wyrobu Piepera. Czy to instrument bardzo myśliwski, pozostawiamy sąd na oboczu; z obowiązku sprawozdawczego konstatujemy jedynie, że jest to broń złożona z 7 luf, a raczej siedmiu otworów w jednej stalowej lufie, tak, iż jeden z nich znajduje się w pośrodku, a sześć w około. Kaliber luf jest 9 milimetrów, a każda lufa kręto ciągniona. Patrony wkłada się naraz za pomocą odpowiedniego krążka. Zamknięcie jest systemu Remingtona, a przy otwieraniu zamknięcia naciąga się kurek sam. Jest to cały aparat do walenia w grubego żwierza jak w tarczę, bo wszystkie siedm luf strzelają naraz, i w odległości 100 metrów rozsypują się w obwodzie o średnicy 50-centymetrowej. Składamy broń tę w ofierze owym Nimrodom, co wybierając się na odyńca czy niedźwiedzia lub może na jakiego nosorożca afrykańskiego, myślą sobie w duszy: „Strzeżonego pan Bóg strzeże — lepiej siedm kul naraz niż jedna".

Tesznerówki iglicowe Collatha różnych kalibrów i konstrukcyj zamykają tę bogatą kolekcyę broni nowożytnej.

A że już było tak dużo o broni, a nie przysięgaliśmy na żadną systematyczność w niniejszych sprawozdaniach, więc rzucamy odrazu broń i zwracamy się do przegrody, w której są trofea Towarzystwa lisowickiego. Wspominaliśmy już o nich i nie chcemy się powtarzać. Tu tylko nadmienimy, że łeb dzika, który padł od strzału hr. St. Szembeka, odznacza się tem, że mu jedna z dolnych szabli już niemal w górną szczękę wrosła, i jest wymownym dowodem regulowania się i ostrzenia szabli w skutek ocierania się dolnych kłów o górne. Dzik wspomniany nie miał w skutek jakiegoś wypadku jednego kła górnego, to też odpowiadający mu kieł dolny stracił granice swego wzrostu i wprost jął w górną szczekę wrastać, czemu nareszcie kula Lisowczyka położyła koniec.

Inną szablę dziczą, ciekawą co do kształtu, bo wyglądającą jak zakrzywiona i w górze zgrubiała pałka, spotykamy w zbiorze p. E. Oczosalskiego. Tajemnica owego zwyrodnienia jest tam atoli aż nadto widoczna i zrozumiała. Szabla została kulą nadłamana i kula utkwiła w samym jej końcu. Cóż się więc stało? Odyniec chodził z kulą w szabli, ale materya kostna zranionego kła zaczęła kieł w górze rozszerzać i rozlewać się niejako, tworząc gruby *callus*, podobnie jak się to dzieje na zranionym parostku.

A skoro już jesteśmy przy dzikach, nie zawadzi napomknąć, że pawilon łowiecki, nie mówiąc już o całych odyńcach wypchanych, których jest kilka, liczy na dole, na galeryi wewnętrznej i na galeryach zewnętrznych około 40 łbów dziczych, które są całą gamą typów, jakie między dzikami u nas się spotyka, a łączą z sobą oraz najpiękniejszą seryę nazwisk z naszego łowiectwa. Są tam dziki, które ubili: Kaźmierz Wodzicki, Leopold Starzeński, Stanisław Stadnicki, Stefan Szembek, Andrzej Lubomirski, Emanuel Borkowski, Stanisław i Tadeusz Dzieduszyccy, Władysław Bzowski, Juliusz Bielski, J. Janicki i inni. Tak pod względem barwy jak i wydłużenia gwizdu, oprawy ślepia, rozstawienia i kształtu szabli są tam ciekawe różnice i nietylko pora ubicia, lecz niemal charakter kniei maluje się w tych łbach naszych czarnych rycerzy kniejowych.

Ad vocem ubarwienia warto również podnieść, że między trofeami Towarzystwa lisowickiego znajduje się łeb wilka tak śliczny popielato-srebrzysty, że aż prawie kusi wierzyć, że to jakaś specyalna odmiana basiora.

Wzmiankę o trofeach Towarzystwa lisowickiego, zamykamy powtórzeniem całej tablicy łowów Towarzystwa, wspaniałej w swoim rodzaju, którą jeden z niedźwiedzi tego działu ciekawemu widzowi do przeglądnięcia podaje.

Zanim jednak przytoczymy cyfry, zestawione pracowicie z protokołów Towarzystwa przez jednego z najczynniejszych jego członków, Stefana Szembeka, godzi się powtórzyć tych, co byli i są członkami rzeczonego Towarzystwa, bo to drużyna stanowiąca chlubę łowiectwa polskiego. Oto oni:

† Kazimierz Wodzicki, Leopold Starzeński, † Wacław Hudetz, Stanisław Stadnicki, † Zdzisław Dembiński, † Julian Jełowicki, † Antoni Dembiński, Władysław Mniszek, Alfred Borkowski, † Edward Simon, Józef Miączyński, Edmund Starzeński, Władysław Bzowski, Zygmunt Drohojowski, † Adam Lubomirski, Bogusław Horodyński, † Józef Pieńczykowski, † Juliusz Starzeński, Aleksander Hulimka, Emanuel Borkowski, Henryk Łączyński, Stanisław Piegłowski, Maryan Łoś, Stanisław Wodzicki, Zygmunt Pietruski, † Kazimierz Drohojowski, Stanisław Tarnowski, Onufry Horodyński, Juliusz Bielski, Tadeusz Czarkowski-Golejewski, Roger Łubieński, Stefan Szembek, Juliusz Aleksander Bielski, Stanisław Mycielski, Juliusz Tarnowski, Włodzimierz Barański.

Obraz polowań Tow. Lisowickiego w kniejach Lisowickiej, Bolechowskiej, Taniawskiej

od roku 1871 do roku 1894.

Rok		Dni polowania	Ilość miotów	Niedźwiedź	Ryś	Żbik	Wilk	Dzik	Lis	Rogacz	Koza	Zając	Cietrzew	Jarząbek	Słonka	Wydra	Norka	Kuna	Tchórz	Orzeł	Jastrząb	Puhacz	Sowa	Kuropatwa	Psy	Koty	Sztuk	Strzałów	Uwagi:
1871	Zima	11	64	.	.	.	.	3	11	19	4	38	.	1	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	76	215	Liczba myśliwych na każdem polowaniu nie przekraczała 14-tu oprócz służby leśnej i łowieckiej.
1872	Jesień	4	84	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	22	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	22	99	
„	„	12	93	.	1	.	.	1	14	12	2	36	.	16	1	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	83	261	
1873	Zima	8	37	.	.	1	.	4	.	6	.	8	.	4	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	24	89	
„	Jesień	10	74	.	.	.	.	4	34	5	2	31	.	10	.	.	.	.	.	.	.	1	11	.	.	.	98	341	
1874	Zima	5	25	.	.		1	5	7	5	1	11	.	1	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	31	77	
„	Jesień	8	41	.	.	.	.	5	11	11	1	9	.	1	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	39	149	
1875	Zima	11	56	.	.	.	6	11	10	14	1	44	.	4	.	.	.	.	.	1	.	.	.	.	.	.	91	269	
1876	Jesień	10	96	.	.	.	.	.	6	7	1	32	3	11	41	.	.	.	.	.	.	.	5	.	.	.	106	425	
1877	Zima	6	35	.	.	.	.	.	11	14	3	24	.	5	.	.	.	.	.	.	.	.	3	.	.	.	60	166	
„	Jesień	10	85	.	.	.	.	.	20	11	.	33	.	12	11	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	88	240	
1878	Zima	11	58	.	.	.	.	4	4	29	.	39	.	6	.	.	.	.	.	.	.	.	2	.	.	.	84	219	
„	Jesień	11	101	.	.	.	.	2	9	7	.	12	3	12	37	.	.	.	.	.	.	.	3	.	.	.	85	288	
1879	Zima	11	73	.	1	.	.	10	7	22	.	28	.	9	.	.	.	.	.	.	1	.	2	.	.	.	80	257	
„	Jesień	8	53	.	.	.	.	1	7	1	.	5	.	.	25	.	.	.	.	.	1	.	5	.	.	.	45	231	
1880	Zima	12	59	.	1	.	.	5	13	41	3	17	.	.	4	.	.	.	.	.	.	.	4	.	.	.	88	242	
„	Jesień	7	109	.	.	.	.	1	.	2	.	15	1	19	41	.	.	1	.	.	2	.	.	.	.	.	82	334	
1881	Zima	10	68	.	.	.	.	6	18	40	1	35	.	6	.	.	.	.	.	.	1	1	1	.	.	.	109	295	
„	Jesień	8	64	.	.	.	.	3	13	8	.	18	3	18	11	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	75	227	
1882	Zima	9	64	.	.	.	.	6	15	42	.	33	.	15	.	.	.	4	.	.	.	.	3	.	.	.	118	307	
„	Jesień	8	53	.	.	.	.	5	17	11	.	14	1	16	20	.	.	.	.	.	.	.	2	.	.	.	86	277	
1883	Zima	11	69	.	.	.	.	8	10	32	4	37	.	7	.	.	.	.	.	.	.	.	2	.	.	.	100	259	
„	Jesień	8	70	1	.	.	.	15	21	4	.	28	.	18	5	.	.	.	.	.	1	.	8	.	1	1	103	258	
1884	Zima	10	68	.	1	.	.	14	16	27	.	29	.	7	.	.	.	3	.	.	.	.	7	.	.	.	104	279	
„	Jesień	10	76	1	.	.	.	2	13	9	.	29	1	17	11	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	1	85	251	
1885	Zima	11	68	.	1	2	2	11	22	36	.	28	.	2	.	.	.	1	.	.	.	1	.	.	.	.	106	263	
„	Jesień	9	73	.	.	.	.	7	21	12	.	52	1	23	14	.	.	1	.	.	.	.	13	.	.	.	144	384	
1886	Zima	11	77	.	.	.	.	15	21	56	.	48	.	7	.	.	.	1	.	.	6	.	.	.	.	.	154	298	
„	Jesień	10	101	*3	.	1	.	5	23	14	.	55	2	39	55	.	.	.	.	.	2	.	3	.	1	.	203	523	* Ubite przez straż rządową.
1887	Zima	10	89	.	.	.	.	11	15	36	.	30	.	9	.	.	.	.	.	.	2	.	.	.	.	.	103	248	
„	Jesień	10	96	.	.	.	.	4	29	9	.	37	6	14	30	.	1	.	.	.	4	.	6	.	.	.	140	383	
1888	Zima	10	63	.	.	1	.	10	8	42	.	40	.	9	.	.	.	1	.	.	1	.	3	.	.	.	115	217	
„	Jesień	9	80	.	.	.	.	11	27	9	.	40	2	34	3	.	.	10	.	.	6	.	.	.	.	.	142	274	
1889	Zima	9	61	.	.	.	.	10	14	27	.	30	.	4	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	.	86	170	
„	Jesień	6	65	.	.	.	.	4	26	6	.	34	.	34	15	.	.	.	.	.	3	.	6	.	.	.	128	277	
1890	Zima	10	80	.	.	.	.	15	22	41	.	63	.	24	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	166	361	
„	Jesień	10	100	.	.	1	.	9	20	8	.	30	.	24	30	.	.	.	.	.	2	.	1	1	.	.	126	348	
1891	Zima	10	58	.	.	1	2	17	8	51	.	43	.	11	.	.	.	.	.	.	3	.	1	.	.	.	137	283	
„	Jesień	10	97	*5	3	1	.	5	61	11	.	43	4	36	51	.	.	.	.	.	5	.	12	.	.	.	237	547	* Straż rządowa ubiła 3 niedźwiedzie.
1892	Zima	6	31	.	1	.	.	13	13	20	.	32	.	11	.	.	.	.	.	.	.	.	3	.	.	.	93	185	
„	Jesień	9	79	.	.	.	.	25	40	8	.	31	2	14	37	1	.	.	.	.	.	.	3	.	.	.	161	404	
1893	Zima	10	64	.	.	1	.	60	20	59	.	62	.	8	.	.	.	.	1	.	1	.	1	.	.	.	213	462	Służba ubiła 1 żbika, 3 kuny i 1 tchórza.
„	Jesień	10	91	.	.	.	.	4	35	20	.	54	.	16	32	.	.	.	.	.	.	2	8	.	.	.	171	404	
1894	Zima	5	35	.	.	.	1	10	11	42	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	.	1	.	.	.	65	119	Służba ubiła 1 kunę.
	Razem	404	3083	10	9	9	12	361	723	886	23	1357	29	534	496	1	1	22	1	1	41	7	124	1	2	2	4652	12205	

WIERNY PRZYJACIEL

przez

Grenvilla Murray.

(Z angielskiego.)

Szkaradny pies szedł po błocie, z uszami zwieszonemi, ze skulonym ogonem.

Nigdy nie widziałem brzydszego psa, równie suchego i wychudzonego. Jego sierć była brudno-popielata i miejscami powycierana. Zdawał się być bez domu i gniazda, żywiony całe życie kośćmi i skórkami chleba, znajdowanemi w rynsztoku.

Zazwyczaj mało się zajmuję psami, i nie wiem doprawdy, dlaczego ten zwrócił moją uwagę. Miał naszyjnik, do którego był przywiązany koszyk. Pewnie to mnie uderzyło i nasunęło myśl, aby śledzić zwierzę.

Niebo było pochmurne, mgła coraz bardziej się zgęszczała, przechodnie drżeli od chłodu. Kilka sklepów już oświecono, gdyż robiło się ciemno, a połączenie światła gazowego z żywszym blaskiem ogni węgla kamiennego, palonych w głębi mieszkań parterowych, nadawało atmosferze ten cień szaroczerwonawy, który można widzieć tylko w Londynie w dniach mglistych. Pies wciąż biegł dalej, nie troszcząc się wcale o omnibusy, które go najeżdżały, ani nawet o inne psy. które się zatrzymywały na jego widok, podnosiły głowę i patrzały ze zdziwieniem. Musiałem przyspieszyć kroku, chcąc iść za nim.

Przebyliśmy Audley-street, Duke-street i kilka innych, i weszliśmy wreszcie w wąską uliczkę. której nazwy już nie pamiętam, a która wychodzi na Oxfort-street. Tam pies zawahał się chwilę i zdawał się namyślać co ma robić, wreszcie puścił się w poprzeczną ulicę i biegł dalej.

Ulica była pusta. Mgła, zimno, drobny deszcz, który zaczynał padać, wypędziły rzadkich gości z nędznych szynkowni. Pies biegł ciągle. Myślałem, że może mieszka w tej stronie i że nagle zniknie w której bramie. Ale nie, przybywszy przed stajnię położoną naprzeciw wielkiej piwiarni, zwolnił kroku i stanął.

W chwili gdy pies się zatrzymał, zaprzęgano właśnie dorożkę. Pies podniósł się nagle na tylnych łapach i zaczął poważnie chodzić naokoło.

Ludzie porzucili dorożkę, aby się przypatrywać. Sąsiedzi przybiegli, zwabieni śmiechem, i wkrótce utworzyło się koło ciekawych.

Pies zdawał się uradowany: kręcił ogonem, wykonywał coraz to inne sztuczki. Przeszedł pięć razy naokoło, sztywny jak żołnierz, starając się pobudzić nas do śmiechu; ja śmiałem się najgłośniej, aby zachęcić zwierzę, choć miałem raczej ochotę do płaczu.

Było to naprawdę wzruszającem, jak psisko z poważną miną wykonywał sztuki, których się nauczył od swego pana, a co dziwniejsza, robił to z własnej chęci, i w celu jemu tylko wiadomym. Po kilku chwilach odpoczynku, zaczął znowu, a tym razem chodził na przednich łapach z głową na dół. Co za dobra i sprytna głowa! Jego poczciwe oczy zdawały się mówić: „Proszę was panowie, nie przeszkadzajcie mi w sztukach, ja ich nie robię dla zabawy". Gdy był już bardzo zmęczony, wszedł w środek koła, wyciągnął się jak długi, udając nieżywego. Potem skręcił się, dyszał prędko, sapał głośno, poruszał gwałtownie szczękami, a ta pantomina była tak wyrazistą, że jakaś kobieta zawołała ocierając oczy: „Biedne zwierzę!"

Deszcz ciągle padał, ale nikt nie miał zamiaru odchodzić. Tylko pies wstał i otrząsł się, ażeby okazać, że już przedstawienie skończone. Pokazawszy nam tyle sztuk, chciał teraz dostać zapłatę. Znowu stanął na tylnych łapach i zbliżał się do każdego z nas osobno. Przedemną najpierw się zatrzymał. Spojrzał na mnie błagalnie i śledził oczyma ruchy mojej ręki, jak gdyby chciał się zapewnić, że sięgam do portmonetki.

Koszyk na jego szyi miał pokrywę z dziurką, do której wkładano pieniądze. Ja dałem szylinga i schyliłem się, aby przeczytać kartkę przywiązaną do szyi zwierzęcia: „Ten pies należy do biednego człowieka, chorego i bez utrzymania, zarabia na chleb dla swego pana. Dobrzy ludzie, którzy go spotkacie, dajcie mu wrócić do domu". Pies podziękował mi ruszając ogonem, potem zwrócił się do mego sąsiada. a ponieważ każdy człowiek w ogóle więcej jest wart niż sądzą, wszyscy widzowie coś dali. Wtedy zwierzę zaszczekało parę razy na pożegnanie i poszło w dalszą drogę.

Postanowiłem iść za nim znowu i znalazłem się wkrótce w dzielnicy najnędzniejszej z całego Londynu.

Był tam stek ludzi o wstrętnej powierzchowności przy drzwiach szynków i około wózków przekupni. Pies przyspieszył kroku, jak gdyby obawiając się o swój koszyk, i wbiegł w uliczkę tak wąską, że powóz nie mógłby przejechać. Zapłaciłem fiakrowi i wysiadłem. Ulica była okropna, ciemna, obrzydliwa; nic mię to nie obchodziło. Postanowiłem do końca śledzić moją czworonożną zagadkę. Pies wszedł w długi korytarz, przybył w podwórze i zaczął drapać się na schody. Wziąłem zapałkę i poświeciłem zapalonym papierosem. Na widok światła, zwierzę zatrzymało się i wydało żałosne skomlenie; ale instynkt powiedział mu pewno, że nie ma się czego obawiać, gdyż na mój głos przybiegł do mnie i zaczął obwąchiwać moje ubranie. Potem idąc wciąż po schodach, doszedł na najwyższe piętro, nie uważając na mnie.

U klamki drzwi był duży węzeł, schwycił go zębami, pociągnął, otworzył i wszedł razem ze mną.

W pustej butelce palił się kawał świecy. Próżna rynka stała na wygasłem ognisku. Ubranie w łachmanach wisiało na krześle. Kawałki tynku oderwane od sufitu, leżały na podłodze. Wreszcie w kącie spostrzegłem siennik, ku któremu pies się rzucił. Było tak ciemno, że go nie mogłem widzieć, tylko słyszałem, że ocierał się o kogoś na barłogu i skomlał z radości, a jakiś głos mówił:

— Dobry pies! Dobry, poczciwy Jim! — mówił głos, widocznie chorego, bo tak słaby, że zaledwo do mnie dochodził. Potem rachował — raz, dwa! oh, szyling, mój Jim... szyling i trzy pensy... szyling i dziesięć pensów... dwa szylingi... Oh, jeszcze jeden szyling! trzy szylingi... Mój stary Jim!...

Tutaj chory wydał okrzyk.

— Kto tam? — zapytał chowając pieniądze i patrząc na mnie błędnym wzrokiem.

— Nie bójcie się — rzekłem. — Jestem przyjacielem, szedłem za waszym psem i chcę wam być pomocnym.

Był to człowiek pięćdziesięcioletni, włosów nie miał jeszcze siwych, ale był tak chudy, policzki miał tak wpadnięte, oczy tak zgasłe, że można go było wziąć za starca. Głos mój i ruchy widocznie go uspokoiły, wciąż jednak ukrywał pieniądze.

— Jestem bardzo nieszczęśliwy, panie, — odrzekł — bardzo nieszczęśliwy. Mam tylko tego psa, który mnie utrzymuje, a to mało, gdyż nieraz próżnuje i wraca z pustym koszykiem.

— Wasz pies nie próżnuje w drodze — odrzekłem. — To dobre zwierzę. Czyż wam nie przyniósł dzisiaj więcej, niż trzy szylingi?

— Oh nie, panie, tylko trzy pensy — rzekł nieszczęśliwy — tylko trzy pensy, z pewnością ani grosza więcej.

— Nie przyszedłem zabrać wam pieniędzy — rzekłem widząc, że mi jeszcze nie ufa. — Jesteście chorzy; będę was pielęgnował. Czy mam pójść po doktora?

— Oh nie, panie, nie; nie mam dla niego pieniędzy. Idź pan stąd, proszę. Mam tylko katar, to przejdzie; jutro będę już zdrów.

Pies ciągle go lizał. Przypomniałem sobie, że biedne zwierzę nic nie jadło.

— Wasz pies musi być głodny — rzekłem. — Czy mogę mu dać tę kość, która leży na talerzu? Zasłużył na nią.

— Kość z talerza! Nie, nie; niech jej pan nie rusza. To moja dzisiejsza kolacya. Gdy on ją zje, ja umrę z głodu.

— To ja wam co kupię — odrzekłem.

I wziąwszy kość z talerza, zawołałem Jima, aby mu dać. Ale zamiast przybiedz do mnie, zwierzę patrzało bojaźliwie na swego pana, jak gdyby go pytało, co ma robić.

— Nie, Jim, — rzekł człowiek — nie można.

Jim odwrócił głowę.

— Czy już od dawna jesteście chorzy? — spytałem.

— Więcej niż dwa miesiące — odrzekł człowiek, wyrywając mi kość z rąk i kładąc ją sobie pod głowę. Raz mój pies wyszedł i przyniósł mi pensa. Od tego czasu wychodzi co rana z koszykiem, który mu kupiłem, ale jest leniwy. Prawie nic nie zarabia w porównaniu z tem co dostawał, gdy chodził ze mną; woli się bawić, niż pokazywać sztuki; to niedobre zwierzę, niech mi pan wierzy.

Ale pocóż przedłużać opis tej rozmowy? Nie ma nic smutniejszego, jak obraz nędzy połączonej z upadkiem moralnym.

Ten człowiek na barłogu był bogatym, przynajmniej względnie; za pomocą psa doszedł do pewnego majątku, a choroba zamiast go zrujnować, jeszcze mu przysporzyła dochodów. Pies zarabiał więcej sam, aniżeli dawniej z swym panem. Co rana wychodził ze swym koszykiem na szyi, a wieczorem wracał z dobrym zarobkiem. Opowiedzieli mi to sąsiedzi, poczciwi ludzie, którzy udawali, że wierzą w historyę chorego, aby im pozwolił się pielęgnować.

— Już i tak niedługo pociągnie — rzekł mi jeden z nich — a to co zarobił, dostanie się może takiemu, co tego lepiej użyje.

— A pies? — zapytałem.

— Pies nie będzie żył długo, gdy mu zabraknie pana.

Ten człowiek prawdę mówił. Posłałem po doktora i po dozorcę, ale ich starania były już niepotrzebne. Nieszczęśliwy żył jeszcze tydzień, a pies wychodził co rana, jak zwykle, i wracał dopiero w nocy z dobrze napełnionym koszykiem. Czasem brała mnie ochota iść za nim, a ponieważ mnie widział przy łożu swego pana, kręcił ogonem widząc mnie, a potem biegł dalej. Pewnego wieczora gdy powrócił, siennik był pusty; ale w pokoju stała wielka skrzynia czarna, więc położył się przy niej, zgadując, że zawiera ciało jego pana. Gdy przyszli go zabrać, szedł za trumną aż na cmentarz, gdzie ja z grabarzem byłem jedynym świadkiem tej smutnej sceny. Wtedy Jim spojrzał na mnie z niepokojem, jakby chciał zapytać, co znaczy ten dół, do którego spuszczono jego pana i zaczął wyć, słysząc ziemię spadającą na trumnę. Wziąłem go na ręce i zaniosłem do siebie; ale nie chciał nic jeść, a nazajutrz rano szukał koszyka i chciał wyjść. Czemuż miałem zatrzymać biedne zwierzę? włożyłem mu naszyjnik i otworzyłem drzwi; ale przewidując co będzie, poszedłem wieczorem na cmentarz.

Pies tam wrócił z pełnym koszykiem jak zwykle i zdawał się zadowolony widząc mnie.

— Chodź, mój dobry Jim — rzekłem ze łzami w oczach, głaszcząc go po głowie.

Zaczął wyć i drapać ziemię łapami. Wziąłem jego koszyk i wyrzuciłem pieniądze na grób. Potem wrócił ze mną do domu. Przez dwa dni chodził po mieście, zawsze wracając wieczorem na cmentarz, gdzie czekałem, aby złożyć pieniądze na grób jego pana. Ale widział, że jego pensy pozostają zawsze nietknięte, przestał się więc upominać o koszyk i wkrótce potem zginął.

NARESZCIE JEDEN!

Relacya z tokowiska.

„Głuszce tokują“. Temi dwoma czarodziejskiemi wyrazami zostałem zaproszony na umówione już zdawna polowanie na głuszce i zaraz nazajutrz siedziałem w wagonie kolejowym, aby się dostać w góry, gdzie tokowisko na mnie czekało.

Na stacyi powitał mnie stary leśniczy tego kompleksu lasów, gdzie byłem zaproszony, a choć nie znaliśmy się przedtem, wnet zawiązała się kordyalna rozmowa, oczywiście o kniei, łowach i głuszcach. Wśród rozmowy dotarliśmy wkrótce na wygodnym wózku do kwatery, a w pół godziny później byliśmy już na nogach aby się pod wieczór dostać w góry na tokowisko.

Stary leśniczy zmiarkował, że jestem frycem *in puncto* głuszców, i miał racyę. Oprócz głuszców malowanych i wypchanych, a raz żywego przy rannym podjeździe na kozły, nie widziałem nigdy głuszca, nie byłem dotychczas nigdy na tokowisku i Bogiem a prawdą nie wiedziałem, jak się koguta w czasie tokowanie podskakuje. Nastąpiło więc formalne przesłuchanie, co wiem, a czego nie wiem i nauka, co czynić należy.

Wspinając się za starym w górę, słuchałem tedy, jak to wieczorem kogut ciągnie na tokowisko, jak się „przeprawia“ z drzewa na drzewo, jak się potem odzywa i noc na gałęzi przepędza, jak znów grę przed brzaskiem dnia rozpoczyna, jak „telęka“ „kłapie“ i „czychita“, i jak przechodzi w przejmujące „szlifowanie“, jak potem na ziemię spada i rozgrzane tym śpiewem kury „depcze“ i jak się go w czasie gry „podskakuje“...

Słuchałem w skupieniu ducha prelekcyi starego, lecz musiałem też od czasu do czasu spoglądać pod nogi, bo droga stawała się coraz gorszą. Las rzednął coraz bardziej, droga zmieniała się w stromą ścieżkę, wciętą głęboko w rozmokły, gliniasty grunt leśny i zasypaną jeszcze zczerniałym śniegiem, w którym noga głęboko się zapadała. Zbliżaliśmy się ku połonince torfiastej. Śnieg ustąpił, ale natomiast grzązł but w czarnem, gęstem błocie, i wydobywał się zeń trudno z rodzajem cmokania i bulkotania, wśród którego wytryskała na wierzch rudo-czarna juszka. Zeschłe poduszki mchu i wrzosy wskazywały z jakim gruntem ma się do czynienia, a roztropność nakazywała stawiać nogę na wrzosy, aby uniknąć zapadnięcia po kolana.

— Mój Boże — myślałem w duchu, próbując nogą stałości wrzosów — i ja mam na tym gruncie „podskakiwać!“

Ale wyszliśmy znowu na grunt pewniejszy i zbliżyliśmy się ku przełęczy, uwieńczonej szeregiem drzew wyższych, które klinem wciskały się w moczar. U szczytu tego klinu górowało kilka wyniosłych świerków i tu właśnie zapadać miał tokujący głuszec. Stary leśniczy słyszał go sam kilkakrotnie. Stanęliśmy zatem w ukryciu, aby się go i teraz doczekać.

Niemal co do minuty stawił się w istocie głuszec o naznaczonej godzinie. Zmrok zaczął już zapadać, a śpiewacy leśni wydzwaniali właśnie swą wieczorną modlitwę, gdy się dał słyszeć przenikliwy szum jego skrzydeł. Serce zabiło mi gwałtownie. Kogut przeprawiał się kilka razy z drzewa na drzewo, tak przynajmniej wnosić było można z dalszych łomotów skrzydeł, i wkrótce zaległa lasy głucha cisza.

Nagle widzę starego leśniczego jak się kuli i głową kiwa, jakby coś liczył w myśli. Przypuszczałem, że to może głuszec zaczął tokować, ale nie zdołałem pochwycić słuchem najmniejszego odgłosu. Nareszcie, po silnem natężeniu słuchu rozróżniłem jakiś słabiutki, urywany odgłos, który się schodził z kiwaniem głowy starego leśniczego i począłem sam wybijać takt głową, chcąc mu dać poznać o co chodzi, chociaż gorszyła mnie gra głuszcza słabym swym tonem, nie będącym wcale w odpowiednim stosunku do znacznych rozmiarów ptaka. Widocznie stanowisko głuszca było dość odległe.

Stary, zmiarkowawszy, że go pojmuję, począł się szykować do podskakiwania w rytmicznych skokach, odpowiadających brzmieniom tokowania. Raz — dwa! raz — dwa! szeroko wyrzucanémi nogami jął się posuwać naprzód, a ja za nim. Wprawdzie musiałem czasem w pozycyi dyabelnie przykrej, ze śmiesznie rozkraczonemi nogami zatrzymać się, wyczekując dalszego uderzenia koguta — ale zdałem egzamin dość dobrze. Ponieważ zaś miało się dopiero nad ranem strzelać, więc gdyśmy stanęli na grzbiecie przełęczy, uznał stary ćwiczenie za skończone i wróciliśmy do domu, rojąc na jutro najwspanialszą zdobycz. Już o pół do 4ej nad ranem wybraliśmy się w drogę, idąc prawie po omacku. Nieraz zapadłem po kolana i zaledwo zdołałem buty z toni wyratować, ale rwałem się naprzód i na czas stanęliśmy na tokowisku. Poranek był przejmująco zimny, lodowaty, wiatr dał od wschodu. Poczęło świtać. Ale kogut się nie odzywał. Coby to być mogło? Słońce już wyszło całe ponad ziemię, a gry nie było słychać. Dopierośmy niestety poznali, że głuszca nie było wcale na wieczornem stanowisku.

A więc przepadł dzień. Mimo to wieczorem wybraliśmy się znowu na podsłuchiwanie kogutów. Tym razem rozdzieliliśmy nasze siły obserwacyjne: leśniczy poszedł na samą przełęcz, ja stanąłem na dolnej krawędzi grzebienia leśnego, leśny zaś zatrzymał się w połowie moczaru. O tej samej porze co poprzedniego wieczoru, zapadł kogut tuż koło mnie, ale przeprawił się kilka razy i pociągnął ku stanowisku leśniczego. Nagle zaszumiało po raz wtóry, i nie dalej nad 25 kroków odemnie na jednem z drzew nadbrzeżnych siadł drugi głuszec. Opanowało mnie wzruszenie, ale staram się siedzieć jak statua z wzrokiem ku ziemi zwróconym. Słyszę każdy ruch ptaka, każde kłapnięcie dzióba, ale boję się nawet oczy podnieść, aby go nie spłoszyć. Jakże okropnie długą wydała mi się każda minuta! I rozpoczęła się we mnie walka rozpaczliwa: „Jak głowę ostrożnie podniesiesz — mówiła ciekawość — to ujrzysz koguta i nie będzie ci trudno ściągnąć go trafnym strzałem z drzewa“. „Fi! — odpowiadała na to duma myśliwska — albo tokującego koguta, albo żadnego!“ I duma myśliwska odniosła zwycięstwo.

Lecz i tę mękę duszy przerwał dalszy szum skrzydeł, bo trzeci kogut zapadł gdzieś za memi plecami! O Święty Hubercie! Cóż za zbytek błogosławieństwa dla takiego fryca! Każdy łowiec musi kiedyś ubić swego pierwszego koguta — a tu proszę sobie wyobrazić moje położenie. Mentor mój daleko, po prawej jeden kogut, który już raz zatelękał, pozamną drugi kogut, a trzeci także się ku mnie zawrócił. Co czynić u licha?! Zacznie pierwszy tokować a ja „podskoczę“, to spłoszę niewątpliwie drugiego, a za tym frunie i pierwszy. A jeśli zaczną oba tokować? A jeśli żaden nie zechce tokować, jak wyjdę z tego fatalnego położenia? W około mnóstwo suchych gałązek, które trzeszczą za każdem stąpnięciem...

Wszystko to kręci mi się po głowie jak koło młyńskie, a wieczór zapada coraz ciemniejszy. Do tego laska z siedzeniem gniecie mnie niemiłosiernie i nogi ścierpły jak drewno po kolana od tej niewolniczej, skamieniałej pozycyi. Wszystkie trzy koguty siedzą cicho, a zorza wieczorna gaśnie do reszty. Zbieram się w końcu na heroizm, podnoszę się i stawiając nogi z niesłychaną ostrożnością, wymykam się z fatalnej pozycyi nie spłoszywszy żadnego głuszca.

Po jakich czterdziestu krokach natrafiłem na leśniczego, który usiłował podsunąć się cicho ku mnie. Wymykaliśmy się więc razem cichutko, i dopiero stanąwszy na przełęczy, zdałem mu relacyę o trzech kogutach. Nie wierzył temu, przypuszczał, że to jeden kogut przeprawiał się z miejsca na miejsce i tem mnie zbałamucił. Ja obstawałem przy swojem, i dopiero leśny rozstrzygnął nasz spór, stwierdzając ku niemałemu zdziwieniu i radości starego, że istotnie trzy koguty zapadły na kraju lasu, gdzie siedziałem.

Lecz, niestety, na nic się to nie przydało. Nazajutrz zmieniło się powietrze, zawył wiatr ludowy od wschodu i czarne groźne chmurzyska zasuły niebo tak, że nawet nie było poco wyruszać na tokowisko.

W ciągu dnia ustał wicher, deszcz i chmury przepędziło i około południa ukazało się wiosenne słonko. A więc znowu koło 5ej popołudniu wyruszyliśmy ze starym na podsłuchy. Tym razem zatrzymałem się w górze na przełęczy,

gdyż z wczorajszego więzienia pośród trzech kogutów, bolały mnie jeszcze dotąd kości.

O zwyczajnej godzinie zapadły wśród świerków dwa koguty, a bokiem pomiędzy wrzosy, przeszedł trzeci jako skromny piechur. Wkrótce potem jeden z głuszców się odezwał. Ja wprawdzie tego nie dosłyszałem, lecz stary począł głową kiwać, więc zatrzymałem w sobie oddech i czekam. Zaczęliśmy podskakiwać; po kilku skokach i ja już dosłyszałem tokowanie. Zbliżaliśmy się bez przeszkody, a krew we mnie żywiej zatętniła, gdy kogut począł „szlifować“. Pierwszy raz usłyszałem „szlifowanie“ i niemałego doznałem wrażenia. Ręka silniej zacisnęła się na lufkach, serce wali jak młotem, a tu dalej raz! dwa! podskakuj jak tancmistrz.

Wtem usunął się leśniczy na bok i wskazuje milcząco jeden z najbliższych świerków. Tam musi być głuszec. Chowam się tedy za świerk najbliższy, aby go wyśledzić, gdy nagle rozległ się szum w powietrzu i drugi kogut zapadł z wielkim impetem obok pierwszego. A bodajże cię kaczki zdeptały! Tokujący kogut zamilkł i wyniósł się natychmiast przed starszym widocznie rywalem, a ten odleciał także niebawem..

Spojrzeliśmy z leśniczym po sobie z wyciągniętemi minami. I tyle podskakiwania na nic! A to prawdziwie psie szczęście...

— To tylko mnie się może wydarzyć! — burknąłem wściekły, zwracając się do leśniczego — Chodźmy! Już nie chcę nawet na oczy widzieć tych czarnych łotrów!

Lecz narzekania moje przerwał leśniczy, chwytając mnie gorączkowo za rękaw.

— Pst! Znowu jeden gra — szepnął, ciągnąc mnie za sobą.

Pełen podziwu dla bystrości słuchu leśniczego, bo znowu nic nie słyszałem, dałem się mu pociągnąć. Wyszliśmy na moczarek, oświecony słabo sierpem księżycowym. Usłyszałem tu głos koguta. Znowu więc, automatycznie, jak nakręcona sprężyna, zaczynamy podskakiwać. Mijając wedle możności błyszczące wody jamy, sunę się naprzód, zostawiając starego za sobą. Skradam się za krzak najbliższy i śledzę okiem sowy najbliższą, otwartą zupełnie część błotka, bo zdaje mi się, że gdzieś z ziemi głos koguta wychodzi. Nic nie widać. Staram się więc odzyskać zimną krew i postanawiam być roztropnym. Korzystam z ostatnich trzech taktów koguciego spiewu i przebywam trzema skokami błotko aż do najbliższych świerków. Tu przypadam do drzewa i śledzę znowu leżącą poza niemi wolną przestrzeń. Kogut skończył właśnie szlifować, a podskoczywszy wysoko, znikł za najbliższym krzakiem. I znowu słyszę głos jego. Podskakuję więc naprzód. Sześć razy uderza głuszec i ma spiew swój zakończyć. Po zakończeniu zerwie się znowu ku górze. Przykładam więc strzelbę do oka. Głuszec wyskakuje w istocie. Przy bladem świetle księżyca celuję w niego jak w tarczę i spuszczam kurek. Padł strzał, błysło jaskrawo wśród ciemności, potem obłok dymu. Serce przestało mi bić na chwilę błotko się wstrzęsło, wody bryznęły i ciężkie ciało spadło na ziemię... Jest, jest w istocie! Czarny, olbrzymi, bez ruchu, leży na ziemi — pozybiegam i podnoszę go z tryumfem za łapy. A w tej chwili zbliżył się już do mnie poczciwy stary leśniczy i gałązkę świerkową zasadził mi za kapelusz. Było 5 minut przed ósmą. Niemi ze wzruszenia i radości padliśmy sobie w ramiona...

Nareszcie jeden — pierwszy!

J. Z

Słoń i jego przyrodniczo-ekonomiczne znaczenie.

Podług dr. B. Langkavla.

W skutek olbrzymich rozmiarów terytoryum, które słoń zamieszkuje, wyrobiły się w kształtach jego, stosownie do odmiennej natury siedliska, pewne różnice, pomijając już znaną w zoologii i uznaną różnicę między słoniem azyatyckim a afrykańskim. Podobnie jak lwy dzielą na pewne odmiany wedle wielkości i porostu grzywy, tak samo uzasadnia znany podróżnik Holub, na podstawie różnych cech charakterystycznych, pewne stałe odmiany między słoniami afrykańskiemi, indyjscy zaś myśliwi i handlarze poznają odrazu, czy słoń schwytany pochodzi z Assamu, Silhetu, Kattaku, Nepalu lub Czittagongu, pomimo iż w budowie anatomicznej nie ma tam takich różnic, któreby jakiś podział zoologiczny uzasadniały.

Słonie trzymają się zawsze w całych stadach, a im mniej są przez człowieka prześladowane, w tem większe skupiają się stada, którym przewodzi słoń z całego stada najroztropniejszy i najbardziej doświadczony.

Trzody słoni dzielą się zazwyczaj wedle płci. W kraju Herero widzieli podróżnicy stada tylko z samic i młodych, inne zaś tylko z samców złożone. Stare, zgryźliwe i złośliwe samce, bywają dla ochrony i spokoju całego stada odpędzane. Wówczas, podobnie jak u nas stare odyńce, błąkają się samotnie lub po kilka razem i są dla innych słoni i dla ludzi niebezpieczne.

Pomiędzy Kirem i Sobatem dochodzą stada słoni do 100 i 200 sztuk, przeważnie matek z młodymi, bez samców, lub tylko z małą ich liczbą. W innych okolicach bywały jeszcze większe stada napotykane, lecz liczba ich niknie z roku na rok, skutkiem chciwości najsroższego ich nieprzyjaciela — człowieka.

Zarówno azyatyckie jak afrykańskie słonie wydeptują w ciągu swych wycieczek szerokie i wygodne gościńce przez lasy dziewicze, a w górach są ścieżki ich — mówiąc słowami Hookera — „istnym wzorem sztuki budowania dróg“, zawstydzającym krajowców i przez nich budowane drogi. W północnej Kochinchinie przecięły słonie gęsty bór dziewiczy całą siecią ścieżek i przesmyków, z których jako z wybornych dróg człowiek korzysta; w południowej Sumatrze wiercą przez gęstwinę lasów istne tunele. W krajach owych nie potrzeba ludziom zaprawdę inżynierów i urzędów drogowych; zajmują się tem bez wynagrodzenia i bez strejków „dzikie“ słonie. Także w Afryce, w kraju Bogos, około Kilimindżaro i w innych okolicach znajdują podróżni wygodne gościńce. wydeptane przez słonie.

O ile ociężałym i nieporadnym wydaje się słoń w naszych menażeryach i ogrodach zoologicznych, o tyle mistrzem zręczności i swobody można go nazwać na wolności. W spinaniu się po górach może iść o lepsze z najznakomitszymi członkami alpejskich klubów. Między Suakimem a Massawą przechodzi z łatwością ciężkie do przebycia przesmyki. Znany z swych podróży łowieckich ks. Ernest Koburg-Gota widział stada słoni na stromych stokach i najwyższych szczytach gór Mensa. Podróżnicy, którzy na południe od Berbery muszą na nogach i rękach drapać się na szczyty, widzieli i tam ślady przechodu słoni. Matki musiały na tych ścieżkach młode swe trąbami podnosić i popychać, są tam bowiem ławy kamieni tak strome i wysokie, że słoń niższy nad półtora metra nie mógł ich żadną miarą bez pomocy przebyć.

Johnston widział wspinające się słonie w Angola na wysokości 8.000 stóp, a on i inni w Kilimandżaro na szczytach, wzniesionych na 13.000 stóp nad poziom morza. W r. 1860 podróżował sir Robert Shomburg po Lahongu. Ciągną się tam po górach ścieżki, nie szersze nad 5—6 stóp, o ławach kamiennych, tworzących schody. Około tych ścieżek zieją przerażające przepaście. Człowiek czuje się przecież bezpiecznym, przebywając ową drogę na słoniu, tak wiele ostrożności i czujności objawia zwierz ten w pochodzie. Zbliżywszy się do schodu skalistego, który ma przebyć, bada trąbą głębokość zejścia i spuszcza ostrożnie przednią łapę, a gdy ta natrafi na grunt pewny, siada na zadzie i spuszcza się na krawędź schodu, poczem ostrożnie jedną i drugą nogą tylną zstępuje. Gdyby słoń w tem położeniu nie ściągał nóg zadnich pod siebie, nachylałby się cały jego tułów tak mocno, iż siedzenie na zwierzęciu byłoby wprost uniemożliwione.

Na Sumatrze spotykali się podróżnicy ze słoniami na takich wysokościach, że im to było wprost niezrozumiałem, jak zwierzęta tak ciężkie mogły się tam dostać. Jak więc widzimy w przezwyciężaniu trudności terenowych dziki i ułaskawiony słoń stoi na równi z dzikiemi kozami, a to samo stwierdza się i w Ameryce, gdyż właściciele menażeryi przeprowadzają tam słonia bez trudności do osad, położonych na najwyższych szczytach Andów, a nawet przez trudny do przebycia wąwóz Chimborasso.

Słonie, chcąc się dostać do drzew, których liście przenoszą nad inne, torują sobie drogę w ten sposób, że wyrywają drzewa inne lub obłamują konary tych, które im drogę tamują i pozostawiają je po drodze. Ten ich zwyczaj dał powód mieszkańcom z nad brzegów Białego Nilu, że zowią słonia parobkiem do rąbania drzewa.

Młode słonie popisują się z pustoty swoją siłą, ćwicząc ją na drzewach; częstokroć odrywają konary drzew i rzucają niemi daleko za pomocą trąby. Strasznemi temi pociskami stają się niebezpieczne ludziom.

Alfred Brehm tak się o naszych gruboskórcach wyraża: „Słoń zastanawia się nim zacznie działać, poprawia się i wydoskonala coraz bardziej, jest dla wszelkiej nauki przystępniejszym, niż każde inne zwierzę i z czasem przyswaja sobie istny skarb wiadomości“. Nie ma w tych słowach panegiryku dla słonia. Jak u nas konie i psy, tak słoń azyatycki rozumie co do najdrobniejszych szczegółów słowa komendy. U wszystkich w Azyi jest on symbolem roztropności, w Afryce zaś, gdzie podanie mówi, że słoń posiadał kiedyś dar mowy, lecz go zatracił, uważanym jest za symbol siły i panowania, i dlatego nazwa jego dodawaną jest często do nazw rządców i panujących.

Kaf owie i niektóre inne szczepy są tego mniemania, że słoń grzebie zmarłych swych towarzyszy, gdyż nigdzie nie można znaleść kości i kłów zdechłego słonia. Okoliczność ta tłumaczy się jednak czem innem. Zwierz, czujący rychły swój koniec, awleka się w niedostępne mateczniki, gdzie go człowiek nie łatwo może nadybać, a gdzie sanitarna policya przyrody, czworonożna i skrzydlata, rychło robi porządek. Na szczycie góry Silei znalazł raz Wilhelm Junker szczątki zdechłego słonia w miejscu tak niedostępnem, że zwierz i człowiek mógł się tam tylko z trudnością dostać.

W Indyach zaprawiono słonia do rozmaitych zabaw publicznych. Przy pochodach uroczystych na Ceylonie widzisz zawsze wśród innych rozmaicie przyozdabianych zwierząt także młodego słonia, który pociesznie tańcuje. Słoń wchodzi też do narodowych zabaw indyjskich wraz z nosorożcem, baranem, gepardem i innemi. Także Anglicy w Indyach, szukający nadzwyczajnych wrażeń sportowych i urządzający gonitwy zwierząt, t. z. Arch-Noah-stakes, każą się i słoniom ścigać.

Ludwik Friedländer w swej Historyi obyczajów starego Rzymu, opowiada o różnych sztukach, jakie już wówczas przy rozmaitych igrzyskach słonie miały do spełniania. A nawet aż do klownowskich sztuczek degradowano biednego słonia w starej Anglii. Schaible wspomina o pokazywanym w Londynie pianiście słoniu, który kładł jedną łapę na klawiszach fortepianu i okropnie ryczał. Właściciel jego, udając przerażenie, zaglądał mu wówczas do gardzieli, szukając nibyto powodów bolu, i oświadczał publiczności, że słoń jest bardzo wzruszony i nie może grać na danym mu fortepianie, gdyż rozpoznał w klawiszach kły swojej matki.

Z pięciu zmysłów słonia jest wzrok najmniej rozwiniętym, tem bystrzejszy zato słuch i powonienie. Szczególniej wykształconym jest zmysł dotykania, skoncentrowany w palcowatem wydłużeniu trąby. Współzawodniczy on z czułością nerwów w palcach człowieka ociemniałego. Odznacza także słonia skłonność do upajających trunków, z których jednakże szampana nie lubi i nie da się nim do pijatyki skusić.

Miłemi i bardzo każdemu słoniowi potrzebnemi są częste kąpiele lub natryskiwania wodą. Edward Moor widział koło Zambesi, jak słonie grzebały sobie w ziemi formalne wanny w pobliżu stawów, a natryskując wodą ich ściany, wycierały o piaskową glinkę ścian skórę swą, obsiadłą owadami.

Podobnie jak u innych zwierząt, tak i u słoni zdarza się, że samica karmi swem mlekiem młode innych zwierząt, własne zaś młode broni z prawdziwem poświęceniem, jeśli im niebezpieczeństwo zagraża. Gdy do matki z młodemi strzelają, stara zasłania swem ciałem młode i przyjmuje za nie śmiertelne pociski.

Mieszkańcy Afryki z pokolenia Niam-niam zapalają czasem suche trawy na stepach. Zaskoczone pożarem samice słonia kupią się wówczas około swych młodych, okrywają je trawą i zlewają wodą czerpaną trąbami, ażeby je ochronić od wpływów gorąca i dymu. I strzegą ich, dopóki nie legną same od śmiertelnych oparzeń. Przywiązanie między pojedyńczemi zwierzętami, należącemi do tego samego stadka, bywa także niezwykłe. Wissman opowiada, że raz ubił dwie samice i jedno młode i poćwiertowawszy je, powiesił mięso do suszenia. W nocy zbliżyły się pod obozowisko samce tego samego stadka, a zwietrzywszy mięso pobitych towarzyszek, wydawały jęki tak przejmujące i pełne smutku, że Wissman nie mógł się oprzeć bolesnemu wzruszeniu.

Olbrzymie te zwierzęta nie okazują w ogóle strachu, a boją się jedynie much, także psów. Kur nie cierpi słoń, a wstrętnym jest mu nosorożec.

Wziąwszy na uwagę, jak zręcznym i wytrwałym bywa słoń w przebywaniu najtrudniejszego terenu, nie będziemy się dziwili, że w Azyi dają pierwszeństwo słoniom, jeśli idzie o transport znaczniejszych ciężarów. Wedle André'go uniesie słoń w przecięciu około ośm cetnarów. Orlich równa jego siłę sile pięciu wielbłądów. Przy próbach czynionych w Afryce zastąpił jeden słoń 16 osłów lub 12 czarnych tragarzy. Lama tybetańska może unieść ładunek 25 funtów — w danym razie może więc jeden słoń zastąpić całą karawanę, złożoną z trzydziestu lam.

Liczne bywają też jeszcze karawany słoni w Azyi i służą znacznemu ruchowi handlowemu. Czasopismo, będące organem Manchesterskiego Towarzystwa geograficznego oblicza, że przy przewozie towarów z Zimmé do Kiang-hsen bywa w ruchu 1000 słoni. W samem Zimmé jest też 8000 słoni, w Peh 4000, a jeszcze więcej w Lan i Lakon. Okolice te mogą jeszcze wyżywienie tak znacznej liczby kolosów zwierzęcych wytrzymać, lecz już w południowej Sumatrze są koszta wyżywienia słonia tak znaczne, że nie opłaca on się jako zwierzę juczne.

Gdy w wojnie angielsko-abisyńskiej okazały się słonie bardzo pożytecznemi dla transportów, zapragnął i Gordon użyć ich w Sudanie. Na żądanie jego posłał mu kedyw egipski sześć indyjskich słoni z Kairu. I rzeczywiście przyszły one zdrowo i dobrze utrzymane do Lado. Lecz Gordon popełnił ten błąd, że odprawił wkrótce indyjską służbę, która słonie obsługiwała, i powierzył opiekę nad niemi nieobeznanym z hodowaniem słoni Sudańczykom. I oto słonie zginęły wkrótce i pozostały nieprzezwyciężonomi trudności komunikacyi i transportu.

Wiemy wszyscy jak drobiazgowej staranności potrzeba, ażeby zwyczajne zwierzęta domowe w dobrym stanie utrzymać. Wielbłądy zdołano w Australii wprowadzić do eksploracyjnych podróży tylko pod tym warunkiem, że zatrzymano przy nich Afgańczyków doświadczonych w obsłudze wielbłądów. I tak zawsze się dzieje, jeśli zwierzęta mają być w inne podniebia przesiedlane i do innych warunków życia nagięte. Jakież trudności np. przedstawia aklimatyzacya psów na zachodnich wybrzeżach Afryki, jakim ulegają tam one chorobom i zwyrodnieniom. Nie dziw przeto, że przyswojenie słonia do obcych mu przedtem warunków życia, jest zadaniem wcale nie łatwem.

Belgia sprowadziła do swych ekspedycyj afrykańskich, podobnie jak Gordon, słonie z Indyj, a gdy się pierwsza próba nie powiodła, udał się Otto Ehler do obozowisk słoni w Indyach i tam robił formalne studya nad naturą słonia, jego sposobami żywienia i utrzymania, nim do dalszej próby przystąpiono. A zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w celu zbadania środka Afryki dadzą się w końcu użyć obłaskawione słonie afrykańskie, gdyż już przed wiekami czyniono udałe próby obłaskawienia tych zwierząt a tu i ówdzie spotykać można i dzisiaj obłaskawione młode. Trzeba jednak, ażeby położono kres nieroztropnemu wytępianiu tego zwierza i wpojono w krajowców większą troskliwość w pielęgnowaniu zwierząt domowych. Można będzie wówczas oddać słonia na usługi ludzi tak samo jak w Indyach. Takiem jest przynajmniej zdanie większości podróżników afrykańskich, chociaż są i tacy, jak Hübbe-Schleiden i Ratzel, którzy twierdzą, że słoń afrykański pozostanie zawsze zwierzęciem dla człowieka nieużytecznem. Jeśli idzie o chwilę dzisiejszą, to w istocie nie nadaje się murzyn afrykański do pracy subtelnej nad przyswajaniem zwierząt, nie ma bowiem tego zapasu cierpliwości, łagodności i wrodzonej inteligencyi, jakich praca ta niezbędnie wymaga. Że zaś postęp w tym względzie jest niewielki, to dziwić się nie można, bo chciwość kupców kości słoniowej służy tylko do podniecania drapieżności murzynów, zachęca ich do szalonego wytępiania, a nie do obłaskawienia słoni. I jeżeli stosunki te w Afryce nie ulegną zmianie, to może po jakiem stuleciu nie będzie już słonia na obszarach Afryki. Rozmaite pierwotne sposoby tępienia słoni, to przez zapalanie traw na paszach, to przez chwytanie ich w doły, to przez ubijanie zatrutemi strzałami i t. d., zostały w ostatnich czasach niemało poparte rozpowszechnianiem broni palnej między dzikiemi plemionami Afryki. Nareszcie i sportowcy europejscy mają do wykazania niepoślednie listy strzałowe przy polowaniach na słonie; Andersohn ubił ich 53, major Rogers 100, a Fr. Green 200.

Gdy zgłodniała czarna horda ubije słonia, to wkrótce nic pozostaje po nim nic, prócz kości; mięso i skóra zostają spożyte. Jeśli jednak nie sam głód tu rozstrzyga, natenczas idą na kuchnię tylko celniejsze części zwierzęcia, a resztę pozostawia człowiek wspaniałomyślnie łakomym sępom. Są wszakże poszczególne części słonia, nadające się do specyalnego użytku. I tak: żołądek słonia, wygarbowany odpowiednio, służy za płaszcz lub skórę do spania; tłuszczu używają niektóre plemiona do nacierania skóry i jako środka przeciw puchlinie; sztywna jak drut szczecina z końca ogona służy do ozdoby, a za czasów Lopeza taki był pokup na nią, że dawano po trzech niewolników za jedną. W państwie Congo zawsze jest szczecina ze słoniowego ogona wysoko cenioną jako ozdoba na szyję; myśliwi niektórych pokoleń noszą na szyjach pierścienie ze szczeciny słoniowego ogona lub z włosienia ogona żyrafy, spinane sztucznemi węzłami. Uważają to za rodzaj talizmanu, przynoszącego im szczęście. Około Stanley Pol szczecina ta naciąganą bywa jak struny na instrumentach, podobnych do harfy i wydaje tony nie bardzo melodyjne. Kłapciastych uszu słonia, po należytem wygarbowaniu tychże, używają na skóry do bębnów, niemniej na okrycia tarcz. W r. 1447 zdobywali już takie tarcze Portugalczycy przy swych wyprawach po niewolników. Ozdobne tarcze z zachodniego Sudanu sporządzają jednak ze zwykłej skóry słonia, z której znika różowawy połysk, jakiego skóra na żywym słoniu przez ocieranie się o czerwoną glinkę, okrywającą w wielu miejscach ląd afrykański, nabiera. Jakiemi środkami garbują krajowcy skórę słonia, nie ma dokładnych wiadomości.

Cała skóra słonia z włosem waży około 8 cetnarów i ma grubość około 3·5 centymetrów. Garbowanie skóry wymaga 1066 dni. W niektórych kraikach afrykańskich zdobią okrycia głowy trąbami słonia jako trofeami zwycięzkiemi. Kości słonia w środkowej Afryce nie mają żadnej wartości. W okolicach Kambodży płacą za nie niewiele i wywożą je do Chin, gdzie są do wyrobu guzików, naramienników i t. d. używane. Co innego kły słonia; te są przedmiotem wielkiego handlu światowego, a również i na miejscu służą do najrozmaitszych celów.

Waga jednego kła zależy od grubości i długości, oraz od wieku i miejsca pobytu zwierza. Z okolic Arussi Galla waży 15 do 20 klg., w Banya 10 do 20, a dochodzi czasem do 38, w okolicach Herero dochodzą kły do trzech stóp długo-a 40 klg. wagi, w Laonda ważą po 45, 50 a dochodzą nawet do 60 klg. wagi. W środkowej Afryce, wedle relacyi Schweinfurtha, trafiają się kły, ważące po 85 do 90 kilo-

gramów, nad jeziorem Wiktorya zaś kupiono raz kieł, który ważył nie mniej nie więcej jak 140 kilogramów.

U niektórych plemion środkowej Afryki mają kły słonia o tyle tylko większą wartość od pni i konarów, że oszczędza się na nich obróbka. Plemiona Babisa i Lualaba używają ich na koły do chat, Arussi-Galla na koły do płotów. Stanley nazywa kotlinę środkowo-afrykańską „krajem świątyń z kości słoniowej". Najrozmaitsze naczynia do codziennego użytku są tam także z kości słoniowej sporządzane. Livingstone i Wissmann widzieli groby królików, przyozdobione wieńcami ogromnych kłów słoniowych, a około 30 kłów na grobach rodzin królikom pokrewnych. W całym kraju Batoka jest mnóstwo takich nagrobków. Na wyspie Borneo zauważył Hatton, że rybacy zamiast kamieni używają kłów słoniowych do obciążania sieci. Z kości słoniowej robione też bywają szerokie pierścienie ramienne, służące nietylko dla ozdoby, lecz także jako przyrząd obronny, którym się zręcznie ciosy toporu lub sztyletu chwyta. W plemionach Dinkasów i Barisów widział W. Junker i Emin Pasza po cztery takie masywne pierście na ramionach.

W plemieniu Niam-niam używane są wielkie polerowane wisiory z kości słoniowej, przypominające kształtem zęby niedźwiedzie, do noszenia na piersiach. Plemię Baniamueri zostało nazwane od ozdoby z kości słoniowej w kształcie półksiężyca, który noszą na karku tak, że rogi jego wystają ponad ramionami. Marawowie wyrabiają z kości słoniowej oprócz pierścieni ramiennych także pierścienie na nogi. Także na instrumenta muzyczne jest materyał ten nieraz używany. W Monbuttu, Marawlandzie i w innych okolicach są całe kapele z bębnami, trąbami i piszczałkami z kości słoniowej. Rurki kościane do rozdmuchiwania ognia, amulety ochronne przeciw czarom i chorobom, a nawet przeciw kulom Europejczyków bywają z kości słoniowej wyrabiane. Wyrazem zaś najwyższej sztuki, i cenione też najwyżej, są kły okryte płaskorzeźbami, mającemi przedstawiać figury ludzi, zwierząt i t. d. Jeśli za zwykły kieł płaci się np. 50 marek, to za okryty rzeźbami trzeba 100 i 125 marek zapłacić.

Mięso słoni bywa w rozmaity sposób spożywane. Gdzieniegdzie jedzą je świeże, gdzieindziej suszą je przedtem, a są i takie okolice, gdzie je spożywają dopiero wtedy, gdy zaczyna się psuć. Gdy na padłego kolosa rzuci się hurma 500 do 1000 ludzi, to mięso jego wystarczy zaledwo na dzień.

Henryk Barth twierdzi, że smak mięsa słoniowego przypomina wieprzowinę, uważał jednak, że dla słabszych żołądków jest ono niestrawne. W. Junker tak to mięso opisuje: jest grubowłókniste i łykowate, najdelikatniejszą częścią jest trąba, a noga bywa tak tłuszczem obsadzona, że można wytopionym smalcem wysokie na stopę naczynie zapełnić. Smalec ten przypomina w smaku tłuszcz barani. Mięśnie i ścięgna są po ugotowaniu miękkie a wypływająca z nich ciecz stygnie na galaretę.

Plemiona, które Paweł Richard zwiedzał, cenią ze słonia najwyżej mięśnie szczękowe, inne przenoszą jako przysmak serce, jeszcze inne gotowaną skórę lub pieczone podeszwy słonia. Mieszkańcy Bambaru i Basuci kładą mięso słonia na kilka dni do wody, ażeby przeszło częściowo w rozkład i poczęło cuchnąć; spożywają nawet całkiem zepsute i tak śmierdzące, że od fetoru tego giną chowane w chatach papugi.

W niektórych krajach, zwiedzonych przez Wissmana, przenoszą mieszkańcy mięso hipopotama nad mięso słoniowe. W Dahomeju zastrzega prawo spożywanie słonia tylko królowi i jego otoczeniu, w Kamerunie trafia się przysmak ten w ogóle bardzo rzadko. Plemie Wangoro nie tyka mięsa słoniowego, zarzucając mu, że sprowadza wyrzuty skórne, Kafrowie z powodu wielkiej czci dla słonia i jego rozumu. Mahomedanom zabrania spożywanie słonia koran.

Wyżywienie obłaskawionych słoni jest niesłychanie trudne. *Menu* dzienne, przepisane dla słonia w naszych ogrodach zoologicznych, wygląda jak następuje: 100 funtów siana, 20 funtów chleba, parę wiader buraków lub brukwi albo 20 główek kapusty i parę wiader wody. Jeżeli słoń cieszy się dobrym apetytem, to zjada na śniadanie własne łóżko, tj. słomę, którą mu wieczór pościelono. Rozmaite deserowe przysmaczki, któremi go traktuje zwiedzająca publiczność, nie wchodzą tu w rachubę. Wedle obliczeń dr. Fischera potrzebuje słoń na pięć stóp wysoki najmniej 70 kilogramów żywności dziennie. W czasie kampanii abisyńskiej dawali Anglicy słoniowi dziennie 20 funtów mąki, 100 funtów siana i trawy wedle potrzeby. Później, gdy wymagano więcej natężenia od zwierząt, dawano im po 40 funtów mąki dziennie, tak, że 45 słoni zjadało dziennie 18 cetnarów mąki. W Bangkoku dają słoniowi na dzień 100 wiązek świeżej trawy, każdą po 10 do 15 funtów. Jakżeż bujnemi musiały być łąki Apamei, jeżli Seleukus Nikator wypasał na nich 500 słoni i 30 000 koni! I tem tłumaczy się bardzo zrozumiale popęd do wędrówek u słoni.

Posługi i prace, które słoń spełnia, bywają bardzo znaczne i wydatne. Nie mówi się już o pożyteczności słonia jako zwierzęcia jucznego, lecz przy wyrębach lasów, składaniu i wywozie drzewa, spełnia jeden słoń bardzo zręcznie pracę za wielu bardzo ludzi, dźwiga belki ciężkie, wyciąga kłody z rzeki i kładzie na brzegu, pracuje nawet bardzo pożytecznie przy tartakach parowych.

W wojnach używali już, jak wiadomo, starożytni słoni z dobrym skutkiem. Po upadku państwa rzymskiego zaczęto sobie lekceważyć pożytek słonia w wyprawach i starciach wojennych, i tylko w Abissynii zachował się dłużej zwyczaj używania słoni do jazdy i dźwigania ciężarów. Także Azya umiała w dawnych czasach wyzyskiwać siłę i zręczność słoni w spotkaniach wojennych. Gdy Timur urządził wyprawę na Indye w r. 1398, miał prowadzić ze sobą 400 słoni, lecz przeciwnik znalazł na nie sposób: spędził, jak utrzymują historyografowie, 20 tysięcy wielbłądów, obładował je drzewem smolnem, a zapaliwszy te małe stosy popędził wielbłądy przeciw słoniom i rozprószył je.

Trafiają się między słoniami albinosy, którym u wielu narodów boską cześć oddają. Nie są one wszakże nigdy całkiem białe. Nawet święte słonie Siamu mają jedynie białe łaty na trąbie i głowie, inne części ciała pozostają szare. Najpiękniejszy z siamskich, którego podobiznę kolorową przechowano, był tylko jasno-płowy. Także w menażeryach, jak np. w menażeryi Kreuzberga, był przed 20 laty słoń biały. Jeden młody albinosik dostał się był do zoologicznego ogrodu w Berlinie. Był on jakiś czas zwierzęciem domowem Roberta Schomburga, za którym jak pies chodził. Gdy jednak jął się rozrastać i schody lekkiego budynku drewnianego trzeszczały, gdy szedł za swym panem, musiał się z nim Schomburg rozłączyć.

Mandalayskie kobiety mają to sobie za największy zaszczyt, jeśli mogą prosiątko białego słonia własnemi piersiami karmić. Jeszcze przed dwudziestu laty, gdy słonia albinosa z siamskiej prowincyi Saraburi do innej przeprowadzono, cała ludność była w poruszeniu; zamiatano przed słoniem drogi, przygotowywano mu pyszne noclegi, a w końcu tak go łakociami różnemi obkarmiono, że nie do-

szedł do miejsca przeznaczenia, lecz przeprawił się wprost do raju białych słoni.

Czasem pomagają szarlatani słoniom przez mycie tajemnemi środkami, albo wprost przez sprytne malowanie do nabierania białej barwy. Także urzędowym słoniom maharadży malują nieraz głowy i trąby np. na różowo w czarne łatki. To też jak u nas pędzą studentów i panny biało ubrane do tworzenia szpalerów, gdy jakaś znakomitość przejeżdża, tak w Indyach funkcyę tę każą spełniać malowanym słoniom. Gdy przyjmowano Mirzę Sulejmana w Badakszanie, 5000 ubranych, malowanych i złoconych słoni stało wzdłuż drogi i spełniało tę funkcyę z większą powagą niż studenci i panny w bieli. Maharadża z Patiali pokazywał, jeszcze dwadzieścia lat temu, Anglikom swoje „howdy“, czyli siodła z wieżyczkami na słonie, z aksamitu, złota i srebra, złote i srebrne naszyjniki, ozdoby na czoło, kolce do uszu i inne najkosztowniejsze przedmioty, służące do przyozdabiania słoni. W Amballa Dörbar stały też słonie w pełnej gali, jako straż przyboczna, z kilkoramiennemi świecznikami na kłach, przejęte misyą podniesienia potęgi swego władcy.

KORESPONDENCYE.

Z Wołynia w czerwcu.

(Pierwszy mój dzik).

Po dwudziestoparoletniej niebytności wróciłem w strony rodzinne, na Wołyń, i zamieszkałem w jednem z miasteczek powiatowych, w okolicy którego mieszkał mój kolega, gospodarz wiejski K. we wsi R. K., jest zawołanym myśliwym, a że dowiedział się, że i ja polowanie nad wszelkie przyjemności przekładam, więc obiecał mnie wezwać na polowanie na dziki, skoro tylko pierwszy śnieg spadnie.

W dniu (8) 20 grudnia od rana zaczął sypać śnieg obfity, tak, że pod wieczór już można było sankami bosemi jechać; to też K. nie chcąc opuścić pierwszej ponowy, rozesłał zaproszenia znajomym i tegoż dnia przysłał wieczorem konie po mnie. W takich razach ja prawie sypiać nie mogę, więc przed trzecią z rana zerwałem się, zbudziłem furmana i jeszcze przededniem zrobiłem wiorst 30. Jak się okazało pospiech był zbyteczny, gdyż zaproszeni byli także myśliwi zdalszych stron i polowanie układało się dopiero na (10) 22 grudnia.

Śnieg jeszcze w nocy przestał padać, mrozik maleńki, ponowa prześliczna; nie tracąc więc czasu, pojechaliśmy na zwiady, by się przekonać, gdzie leży para dzików, które całe lato i jesień karmiły się na polach R. bezkarnie. Objechaliśmy je w kniei przylegającej do pola i tak niewielkiej, że dwa boki prostokątu, od strony wagi lasu, 6 myśliwych mogło obstawić. Daliśmy dzikom na dziś spokój a pojechaliśmy dalej przez las, by się przekonać jaka jest zwierzyna? W odległości może wiorstowej od naszych dzików, spotkaliśmy zdziczałego kota, którego skorciło nam sprzątnąć i daliśmy doń kilka strzałów, nie przypuszczając, by dziki niepłoszone wyruszyły z miejsca, i tego dnia nie chcąc więcej zbliżać się do legowisk, powróciliśmy do domu.

Nazajutrz raniutko przybyło nam czterech myśliwych, którym wyznaczono punkt zborny, a ja z kolegą K. pojechaliśmy na objazd. — Ranek był pogodny, mróz kilkustopniowy, tropy świeże nie dały się wyróżnić od wczorajszych, można tylko było liczyć na te, któreśmy wczoraj porachowali. Dojeżdżając do wyżej wspomnianej kniei, spostrzegliśmy nowy ślad wchodzącego olbrzymiego odyńca; dalej nieco dwa ślady dzików z miotu, w susach, a więc spłoszone, ale kiedy, niewiadomo, czy dnia wczorajszego, kiedyśmy strzelali do kota, czy też w nocy po przyjściu odyńca. Pojechaliśmy w głąb lasu za naszemi dzikami, lecz te idąc ciągle prawie w susach przeszły znaczną przestrzeń i wybrały się do sąsiedniego lasu, w którym legalnie nikt nie mógł polować, a na raubszyca wybijano wszystko.

Straciliśmy na razie nadzieję polowania, gdyż ślad spostrzeżony zrana był znany w okolicy z ciągłych wędrówek odyńca na ogromnych przestrzeniach. Z radością jednak zauważyliśmy w powrocie do punktu zbornego, że odyniec nie wyszedł do lasu większego. Pojechaliśmy jeszcze raz we dwóch, żeby obciąć go w mniejszej kniei i okazało się, że zajął legowisko dwóch wypłoszonych przez siebie.

Ustawieniem na stanowiskach zajął się sam K., znający się dobrze z polowaniem na dziki i pozycyą lasów. Maleńka knieja, w której dzik zaległ, przedstawiała jak wspomniałem prostokąt wydłużony lasu dobrze podszytego, mięszanego, czarnego z sosnowym. Jeden z dłuższych boków prostokątu przylegał do pola i stanowił południową część kniei. Odyniec wszedł od wschodu. Na zachodnim i w części na północnych bokach, stanęli myśliwi. Pierwszym od pola p. G., zawołany charciarz. Drugim myśliwy z Polesia wołyńskiego p. Sł. wytrawny myśliwy w kniei; na niego liczono najwięcej, gdyż miejsce to, które zajął, wydawało się bardzo prawdopodobnym przesmykiem. Trzecim na załomie, do boku północnego, stanąłem ja, na dzika pierwszy raz polujący. Dalej na linii północnej stanął sam K., gdyż kuzyn jego inżynier T., nie licząc na swoją broń, wolał posunąć się dalej. Za inżynierem jeszcze stanął wytrawny bardzo myśliwy na dziki, leśniczy prywatny D.

Od wschodniej strony, po tropie posłano dwóch gajowych z psem, pokurczem, zwanym „Murczyk“ i kilku zwykłemi kundysami. Suki gończej „Mojka“ nie można było przyprowadzić do kniei, ta bowiem doskonały wiatr mając, z daleka zaczynała już zwykle gonić dzika jak zająca, o czem tegoż dnia później sam się przekonałem. Dwa te psy (Mojka i Murczyk) wyłącznie do polowania na dziki były używane. Pierwsza bardzo ostrożna, goniąca albo naszczekująca głośno, drugi kilka razy już mocno pokiereszowany, zawzięcie czepiający się strojów.

Ledwie stanęliśmy na stanowiskach, odezwały się z początku naszczekiwania paru psów kundysów, które szły wolno, nie na smyczy, i zaraz za temi, już głośna, hałaśliwa wrzawa wszystkich psów, które były wyprowadzone do wypłoszenia z legowiska odyńca. Ochoczo brał się do niego jeden Murczyk, reszta zainteresowana niezwykłym widokiem olbrzyma i zachęcona naszczuwaniem gajowego, zawzięcie

naszczekiwała. Przed chwilą las cichy napełnił się niezwykłą wrzawą, a wypłoszony odyniec, nie mogąc iść w jednym kierunku, gdyż mu psy dokuczały, biegał to w tę, to w inną stronę, małego truchta, najerzywszy na grzbiecie szczecinę. Zdawało mi się, że wprost na mnie sunie, to też z drżeniem serca, z niecierpliwością oczekiwałem spotkania, z uczuciem nie strachu lecz małej obawy, by nie wypuścić z miotu tak ładnego okazu. Lecz Murczyk nie pozwalał mu iść w kierunku obranym. W oczach już naszych parę razy się dzik zwracał opędzając się natrętnym psom, w końcu wysunął się nad samym krajem lasu, pomiędzy 1ym i 2im myśliwym, od pierwszego o 25 kroków.

Widocznie był to już odyniec bywalec w takich przeprawach, gdyż doszedłszy do linii strzelców przestał się psom opędzać, a w susach lekkich jak sarna niemal przemknął przez linję.

Padły dwa strzały z nr. 1. — jeden strzał z nr. 2. Dzik dalej niezmieniając kierunku i chyżości poszedł przez zrąb górzystego lasu w kierunku pola. Kilku myśliwych wskoczyło do sani, by go zajechać na wychodnem z lasu. Ja mając nogi wprawne, podążyłem za tropem. Z psów jeden tylko Murczyk szedł za odyńcem i to bez głosu. Farby na tropie nie było. I tak idąc w susach, nie zważając na pnie i leżące na zrębie zwalone drzewa, ani zmieniając kierunku, wyszedł w pole, gdzieśmy się wszyscy zebrali i gdzie nawet Murczyk powrócił, nie mając ochoty samemu atakować w polu.

Po małym wypoczynku, przekąsce, i nadysputowaniu się do syta, usiedliśmy na sanie i podążyli za tropem. Przez kilka wiorst polem i z wiorstę przez małe krzaki zbieg nasz wszedł do sporego dębowego lasu, gęsto podszytego. Tu uradziliśmy puścić sukę Mojkę i Murczyka, a sami rozeszliśmy się pojedyńczo po drożynie, przecinającej skośnie środek lasu.

Niedługo oczekiwaliśmy na ożywienie kniei. Suka doszedłszy świeżego tropu, zaczęła gonić donośnym głosem, równo, jakby zająca. Napróżno jednak długi czas wyczekiwaliśmy spotkania się z dzikiem. Wreszcie zmienił się głos suki goniącej na przerywane naszczekiwanie, jakby w miejscu: a że to działo się niezbyt daleko odemnie i kolegi mego K., więc powiadam do niego: „Chyba czas na podchodzenie, gdyż widocznie znudziło się dzikowi chodzić i skoro stanie i zwróci się do psów, te urywają w naszczekiwaniu“. K. był również tego zdania, że można podchodzić pod dzika. Radzi mi więc udać się wprost na głos psów, pod górę, gdyż byliśmy w tej chwili w długim rozdole; sam zaś udaje się w kierunku oskrzydlającym. Znając pozycyę lasu, chciał zajść dzikowi od strony większego lasu, do którego ten mógł zdążać.

Wyszedłem na pagórek. Las gęsto podszyty. Śnieg wilgotny, jaki padał onegdaj, zawisł na gałęziach leszczyny i co chwila zsypywał się za kołnierz. Słyszę głos psów coraz to wyraźniej i niezbyt już daleko, tak, że co chwila muszę się zatrzymywać skoro psy utną, by chrzęstem gałęzi nie zdradzić blizkiej swej obecności. Kurki w mej odtylówce mam odprowadzone, w której prawy zamek jest tak czuły, jakby był ze sznelerem. Już lada chwila spodziewam się spotkania, choć zauważyłem, że dzik odemnie ciągle oddala się, gdy wtem, kiedy nachylony przesuwam się pod krzakiem, gałązka zaczepia o mój tak czuły zamek i prawa lufa wypala. Gorąco zrobiło mi się ze wstydu przed towarzyszami i z obawy, żem popsuł całodzienne polowanie, nie tracę jednak czasu i zakładam nowy ładunek. Jeszcze nie zdążyłem wyprostować strzelby, gdy słyszę niezwykły chrzęst i zbliżanie się psów do mnie i na kroków może trzydzieści spostrzegam wysuwającego się wprost ku mnie odyńca.

Odmiennym mi się wydał zupełnie, aniżeli był zrana. Przy blasku zachodzącego słońca odmienną lśnił barwą, gdyż mniej ciemną, szczecina na nim leżąca, ze zmęczenia spocony, więc jakby wyszedł z kąpieli, silny opar się z niego wydzielał, oczy iskrzące czerwonawo błyszczały, uszy przytulone. Właśnie doszedł do miejsca, gdzie się dym po moim strzale rościelał i zrobił ryjem ruch węszący; chwyciłem wtedy broń do ramienia i wystrzeliłem mierząc pod prawe oko stał bowiem do mnie w pozycyi prawie na sztych. Po strzale dzik dał susa w prawo odemnie i zwrócił napowrót w kierunku, w jakim szedł poprzednio, to jest odemnie. W miejscu, gdzie dał pierwszego susa, leżał jakby tle;tuch szczeciny i co krok z dzika buchała czarna farba jakby ze szprycy; poszedł jednak dalej, prowadzony głośno i ochoczo przez psy oba.

Nadeszli moi towarzysze. Wytrawni, sprawdzili strzał, a obejrzawszy farbę zadecydowali, że jest wewnętrzną i dzik paść musi, tylko ze względu na to, że to niezwykle duża sztuka, iść może jeszcze daleko. We dwóch tedy ze starym leśniczym D. ruszamy za psami, reszta towarzyszy zostaje w miejscu dla spotkania się z dzikiem w razie gdyby jeszcze chciał się kręcić po lesie.

Słońce już zaszło, w lesie ściemniać się zaczyna; idziemy tak we dwóch co najmniej z półtory wiorsty, a dzik z psami ciągle się posuwa dalej; aż wychodzimy z lasu na pole i widzimy o parę set kroków naszego zbiega idącego w czystem polu. Psy za nim o kilkanaście kroków, idą wszystko troje stępo. Krzyknęliśmy parę razy: huż go, huż!

Na głos nasz dzik się zwrócił żywo i począł biedz do nas truchta, suka odskoczyła na bok a Murczyk korzystając z zajęcia się nami dzika, dopadł do niego i skubnął za stroje. Dzik rzucił się za psem i poczęły oba w kółko biegać. Pies zmykał zręcznie, dzik za nim, i kłapał wydając głośne klaskanie szczękami.

W tej pogoni zapomniał widocznie dzik o nas i wbiegł truchtem do lasu, o jakie półtorasta kroków od nas. Nie strzelaliśmy doń na niepewne; farbą wciąż znaczył swe tropy, a psy go prowadziły głosem wzdłuż brzegu lasu. Uszły tak jeszcze z pół wiorsty i ponownie wybrały się w pole. Tą razą natrafiły na leżący pod lasem folwark, z którego wypadły 4 kundysy. Sześć psów za wiele sprawiało hałasu, by dzik raniony mógł spokojnie posuwać się w pole, to też tylko doszedł do pierwszej sterty zboża, oparł się tyłem o brzeg sterty i stanął w ten sposób w pozycyi obronnej.

Już młody księżyc przyświecał. Wrzawa, jaką sześć psów podniosło, prześlicznie odbijała się echem w sąsiednim sporym lesie. Przeszliśmy obok folwarku w kierunku sterty i spostrzegli ogromną ciemną masę pod stertą, która wydawała się nieruchomą i tylko w pewnych przerwach się poruszała, kiedy dzik zniecierpliwiony rzucał się do psów, a te rozbiegały się na wsze strony. Wtedy dzik napowrót stawał w pozycyi obronnej.

W drodze towarzysz mój D. zapytuje, czy jestem pewien, że zachowam zimną krew przy spotkaniu; naturalnie że byłem siebie pewien wówczas, w zapale, i zgodziłem się na podchodzenie do dzika w czystem polu. Proponowałem wprawdzie zajść na folwark i dostać tam sanie, ale mi D. odradził, mówiąc, że dzik odpocznie i gotów ruszyć dalej, więc szkoda czasu. Idziemy tedy nie wprost do sterty, gdyż w tej pozycyi spróbowaliśmy, że źle jest celować, bo księżyc wypadał nam za plecami, ale zmierzamy na prawo, jakby nad brzegiem lasu, a następnie wracamy z powrotem tylko

bliżej do sterty. Teraz już księżyc przed nami i celować znacznie lepiej. D. szepce mi do ucha idąc tuż za mną, że u niego kapiszonówka, nie jest więc zupełnie pewien, czy mu od sypiącego się z gałęzi śniegu wtenczas kiedy chodził po lesie nie zamokła — ale w każdym razie choć na jeden strzał liczy. W razie niepowodzenia przypomina, żeby kłaść się na śniegu.

Nie doszliśmy do sterty jeszcze, kiedy nas dzik spostrzegł. Psy rozbiegły się na wsze strony, a dzik skoczył kilka razy w susach i dalej dobrym kłusem sunął nam prosto pod nogi. Czekaliśmy go obaj, stojąc od siebie o jakie 10 kroków, ja na prawo, D. po lewej stronie odemnie. Za dzikiem podążają Murczyk i Mojko, a D. woła do mnie:

— Panie, tylko psów proszę nie postrzelić!

Murczyk dopadł dzika i chwyciwszy go za stroje wystawił w pozycyi ukośnej, na blat. Wtedy jakby jednym strzałem wypaliliśmy obaj. Mieliśmy cel o jakie 30 kroków od siebie, ale tak to wszystko stało się w mgnieniu oka, że nie miałem czasu pomyśleć, strzelając, gdzie trzeba mierzyć. To też tylko wypadkiem zadałem mu śmiertelną ranę, zadrasnąwszy nerki i przerywając arteryę idącą wzdłuż grzbietu. Dzik wtej pozycyi w jakiej go Murczyk chwilowo postawił, pomknął jeszcze z paręset kroków w szalonym pędzie i padł nieżywy.

Widzieliśmy zdaleka, że padł, i że psy go szarpią, podchodziliśmy jednak ostrożnie. Strzelałem kulami wewnątrz próżnemi, okrągłemi (extensiv), które z przybitką razem wchodziły, łatwo więc obie swoje kule później znalazłem. Pierwsza przeszła przez bokobrody, z prawej strony w podgardle, lewe płuca i pod lewą łopatkę ustrzegła. Druga, także na wylot nie przeszła, gdyż silnie się spłaszczyła.

Okazało się, że dnia tego dzik tylko moje dwie kule dostał, więcej nikt go nie drasnął. Poprzednio jednak był już nieraz postrzelony. Nosił w prawym boku na żebrach okrągłą kulę zarośniętą, która swobodnie jak w kieszonce od kamizelki przesuwała się. Miał ranę nie zagojoną i cuchnącą nawet w lewej stronie szyi i prawem płucu. Trafiony był w sam czub pomiędzy ślepiami, tu kula oślizgnęła się po kości i zostawiła tylko otwór pod skórą w rodzaju powłoki. Jeszcze w lewym boku miał zarośniętą ranę od kuli i w nozdrzach zarośniętych kilka śrócin. Nie ważyliśmy całego odyńca, ale po wypatroszeniu oglądali go rzeźnicy w miasteczku i oceniali wagę na 600 do 720 funtów.

Podchodząc do dzika pod stertą mieliśmy obaj lewe lufy nabite grubym śrutem. Strzał śrutem na kilkanaście kroków w ślepie, ma być najpewniejszą obroną. Zauważyłem, że przy strzale wieczorem wylatujący ogień z lufy doskonale oświeca punkt, w który wycelowano. Ja dokładnie określałem towarzyszowi mojemu D., idąc do leżącego dzika, to miejsce, w które kulą trafiłem, bo wyraźniej to miejsce widziałem, aniżeli cel przy strzale dziennym.

A. P.

KRONIKA.

„W kniei i wśród ludzi". Pod tym tytułem wydała ruchliwa księgarnia Jakubowskiego i Zadurowicza we Lwowie, zbiorek nowel, skreślonych na tle natury i życia myśliwskiego przez J. Starkla. Czytelnikom „Łowca" są one w znacznej części znane, mogą być jednak miłe w łącznym zbiorku, w całej swej rozmaitości z typami ludzi, zwierząt i obrazów przyrody, w obec których autor pragnął być tylko wiernym fotografem.

Muflony w Tatrach Węgierski minister rolnictwa — jak donoszą pisma węgierskie — miał postanowić, aby do lasów okrywających Łomnicę puszczono kilka muflonów w celu aklimatyzacyi tychże w Tatrach. Górska przyroda i roślinność Tatr powinnyby sprzyjać przyswojeniu się tych górskich zwierząt, jeśli się to jednak ma udać, będzie musiało ministerstwo zażądać współdziałania wszystkich właścicieli lasów tamtejszych, ażeby przez jakie 10 lat polowań nie odbywali i nie przeszkadzali rozmnoży dzikich baranów. Posłużyłoby to nietylko muflonom ale i swojskim kozicom do wzmocnienia zwierzostanu.

Biały kozioł. Arcyksiąże Franciszek Ferdynand d' Este ubił w dobrach Frauenbergu d. 5. czerwca zupełnie białego, dobrze wykształconego kozła, który ważył 17 kilogramów. Posłano go Hodekowi w Wiedniu do wypchania.

Czy wolno polować w niedzielę? Pytanie to było w ostatnich czasach przedmiotem rozstrzygnięcia najwyższego trybunału. Sprawa miała się następująco: Na zasadzie rozporządzenia, wydanego jeszcze w r. 1853, a zabraniającego polowań z naganką w niedzielę i dnie świąteczne, zakazał starosta w Judenburgu dyrektorowi Towarzystwa alpejskiego p. Jungwirthowi polowania w niedzielę i święta w styryjskich rewirach. Gdy zakaz ten potwierdziło następnie namiestnictwo styryjskie a dalej i ministerstwo rolnictwa, udał się Jungwirth do najwyższego trybunału, który po rozprawie zniósł zakaz polowania w niedzielę i święta jako nieprawny, gdyż rozporządzenie powołane zniosła ustawa zasadnicza z r. 1868, regulująca stosunki konfesyjne, a z drugiej strony z tego powodu, że polowanie w niczem nie może przeszkadzać nabożeństwu.

Pamięć u gołębi. Pewien kupiec z Madrytu, zapalony hodowca gołębi, przed laty pięciu otrzymał w podarunku od przyjaciela z Brukseli parę tych ptaków. Od owego czasu rozmnożyły się one znacznie, kupiec trzymał je w klatce; dopiero niedawno, pewien, że zapomniały już o swojej ojczyźnie, wypuścił je na swobodę i o dziwo: skoro tylko poczuły się wolnemi, skierowały swój lot na północ. Po paru dniach kupiec madrycki otrzymał od przyjaciela swojego z Brukseli telegram z doniesieniem o przybyciu tam pary gołębi, która przed laty pięciu wywieziona była z tego miasta. *Si non e vero...*

W żołądku głuszca, tak jak w ogóle w żołądkach kuraków i biegusów, znajdują się niejednokrotnie drobne kamyczki, których ptak ten, jak się zdaje, do starcia przyjętych pokarmów potrzebuje. Zadziwiającą wszakże okazała się zawartość żołądka jednego głuszca, którego w kwietniu b. r. profesor J. Oser z Wiednia około S. Egid ubił. Kogut ów miał w swym żołądku nie mniej nie więcej, jak 21 szewskich ćwioczków! Zagadka, skąd mógł wziąć taki przysmak, wyjaśnia się tą okolicznością, że w pobliżu tokowiska, na którem padł kogut, pracuje dużo robotników około drogi, wczesnemi porankami mógł zatem łakomy kogut wyzbierać tam ćwioczki, wypadłe z podeszew butów robotniczych, które tam obficie ćwioczkami podbijają. Ćwioczki te od 5—8 milimetrów długie, z płaskiemi główkami miały w znacznej części pozaginane na kształt wędek końce, tak, iż niepodobnem było wydobycie się ich z żołądka głuszca inaczej, jak tylko przez powolne starcie i rozkład chemiczny.

Apetyt i żołądki ptaków. Wielce rozmaitemi są warunki żywienia się ptaków, ilości przyjmowanych pokarmów, trawienia i możności obchodzenia się bez pożywienia.

Najsilniejsze żołądki o niepospolitej sile rozmiażdżania i trawienia pokarmów, posiadają ziarnojady a w szczególności kuraki. Pewien przyrodnik robił w tej mierze dość barbarzyńskie ale wprost

zadziwiające doświadczenia. Wsunięty kurze do żołądka wyszczerbiony kawałek szkła był już po 24 godzinach zmiażdżony, a ściany żołądka nie okazywały najmniejszej ranki. Rurkę blaszaną, napełnioną ziarnami, zgniótł i pokręcił żołądek indyka również w ciągu doby. Innemu indykowi wepchnięto owiniętą w papier kulkę skórzaną, z której sterczało na długość ćwierć centymetra 12 grubych igieł. Półtora dnia chodził z nią nie okazując żadnych cierpień. Po ubiegu tego czasu otworzeno żołądek indyka i znaleziono wszystkie igły przy samej skórze poułamywane. Ściana wewnętrzna żołądka kuraków jest też tak zbita, twarda i szorstka, że igła jej nie przebije, lecz się na niej zagina.

Całkiem odmiennie ma się u ptaków drapieżnych i owadożerczych. Wiadomo wszystkim, że drapieżce lotne wyrzucają z siebie „dzięgwie" tj. kulki, zbite z szczątków kości, sierci, piór itd., których żołądek ich strawić nie jest w stanie.

Zachodzi też ogromna różnica między ptakami roślinożercemi a mięsożercemi pod względem wytrzymałości na głód; podczas gdy pierwsze dłużej jak 48 - 60 godzin bez jadła zostać nie mogą, umieją znacznie dłużej pościć owadożerce, a ptaki drapieżne mogą bez szkody dla swego organizmu i całemi tygodniami nic nie jeść. Wygłodniały ziarnojad nie może wnet przyjść do siebie, bo żołądek jego traci wskutek osłabienia potężną swą siłę trawiącą i nie jest w stanie wprowadzonego doń pokarmu roślinnego pokonać. Całkiem odmiennie drapieżca; choćby najbardziej osłabiony długim postem, pokrzepia się jednej chwili, gdy mu pokarm mięsny podadzą.

Ten sam badacz, o którym wyżej była mowa, wygłodził raz do ostateczności dwa wróble i potem jednemu z nich dał ziarna, drugiemu posiekane mięso. Pierwszy zdechł wkrótce, bo nie mógł już ziarna strawić, drugi, choć do jedzenia mięsa nie nawykły, wrócił do życia i sił, bo asimilacya mięsa w osłabionym żołądku jego łatwiej się mogła odbyć.

Ziarnojady, jakgdyby były wiecznie nienasycone, nie gardzą niczem i oprócz ziarn spożywają jeszcze owady, owoce, mięso, gdy się zdarzy itd. — mięsożerce zaś nie tkną ziarn i zostają stale przy mięsnem pożywieniu. Najbardziej łakome i najwięcej potrzebujące pożywienia są ptaki żywiące się rybami, to też natura obdarzyła je dużemi wolami, aby mogły robić zapasy.

Ptaki, w stosunku do swej wagi, jedzą znacznie więcej niż zwierzęta ssące; widocznie lot wyczerpuje prędzej ich siły. Drozd i szpak zjada dziennie tyle, co sam waży, a jemiołuch jedwabnik jest jeszcze większym żarłokiem. Tymczasem sęp, sokół, orzeł mogą i po 14 dni pościć.

„Raz — opowiada pewien ornitolog — złapałem na Przylądku Dobrej Nadziei sępa. Chciałem go wypchać, ale że mi się wydawał za tłustym, postanowiłem utrzymać go przez kilka dni przy życiu lecz nie dawać mu nic jeść aby schudł. Czekałem z dnia na dzień, lecz sęp nie zmieniał się wcale i nie okazywał wcale upadku sił Tak przesiedział 11 dni bez wszelkiej żywności. Znudziła mnie ta wytrzymałość, nie mogłem dłużej czekać i zabiłem sępa. Gdym skórę z niego ściągnął, przekonałem się, że mógł jeszcze długo żyć bez pokarmu, bo miał jeszcze znaczne zapasy tłuszczu, które musiałem usunąć, chcąc go wypchać".

Wylęganie kuropatw. Jaja kuropatwie, opuszczone przez kuropatwy wskutek koszenia łąk, koniczyn, rzepaków itp., można dać kurom domowym wylęgać i tym sposobem sztucznie pomnażać stan kuropatw, tak bardzo u nas zaniedbanych.

Jaja, przyniesione z pola, choćby już były zalężone, mogą jeszcze przez 48 godzin pozostawać bez podłożenia pod kurę. Każda kura lub indyczka, chcąca siedzieć, zdatna jest do wysiadywania kuropatw i bażantów. Najlepsze jednak są indyczki, gdyż te do późnej jesieni wodzą młode i lubią wyprowadzać je daleko w pola, gdzie z łatwością znajdują odpowiednie dla siebie pożywienie. Wadę jednak tę mają, że są ciężkie, więc dużo młodych zadeptują. Kto jest w możności używać do wysiadywania jaj kuropatwich, bażancich, cietrzewich, małych kurek *bantamów* lub *negressów*, powinien im dać pierwszeństwo; w braku tychże, pierwsza lepsza kura dobra jest także. Kurę nasadzać się powinno w pudle, wysłanem świeżą słomą i zamkniętem. Tak w pudle jak i w wieku pudła, powinny być zrobione otwory, dla wpuszczenia powietrza dla kury. Kura ma być raz na dzień zdejmowana z gniazda, na 20 minut. Niedaleko jedzenia powinien znajdować się suchy piasek lub popiół, w którymby kura mogła się dobrze wytarzać.

Po wylęgnięciu się kuropatw, kura nie powinna być z gniazda zdejmowana przez 24 godzin, ani też przez ten czas młode kuropatwy, czy bażanty, nie powinny dostawać żadnego pożywienia, gdyż przez te 24 godzin potrzebują tylko jak najwięcej ciepła; strzedz je więc należy od zaziębienia.

Jako pierwsze pożywienie młode ptactwo powinno dostać mieszaninę z bułki bardzo drobno posiekanej, z jajka ugotowanego na twardo i wraz ze skorupą drobno usiekanego, siemienia konopnego i tatarki razem na młynku od kawy zmielonych i liścia cykoryi dzikiej drobno posiekanego. Wszystko to razem dobrze należy zmieszać i dawać kuropatwom. Dobrze jest choćby raz na dzień dodawać im jajka mrówcze, o które na wsi nie tak znów trudno. Jedzenia nie powinno się dawać naraz w dużej ilości; dawać często, a potrochu. Mieszanina powyżej wymieniona winna być zawsze świeża, oprócz tego młode ptactwo powinno dostawać różne robaczki, w pierwszych dniach drobno posiekane, później w całości; zresztą puszczone z kurą do ogrodu lub na łąkę, samo sobie robaczki znajdą.

Najwięcej młode ptactwo strzedz trzeba od wilgoci, to też nigdy po deszczu, ani po rosie nie puszczać ich na dwór. Nawet gdy podczas deszczu dostają w pokoju różne zieleniny, te nie prędzej powinny być im dawane, jak dopiero po obeschnięciu z wody deszczowej.

Najgorszy czas dla młodego ptactwa jest ten, kiedy zaczynają dostawać pierwsze piórka; nie żałować więc im wtedy jajek mrówczych i różnych robaczków, z których najzdrowsze i najlepiej lubiane przez młode ptaki są koniki polne.

Młode ptactwo powinno zostawać jak najwięcej na świeżem powietrzu, lecz nie należy je wypuszczać prędzej, jak po skończonych trzech dniach, w czas pogodny i dopiero po obeschnięciu rosy. Po trzech tygodniach młode ptaki mogą już dostawać po trochu prosa, a mieszanina wyżej opisana może być powoli zamieniana na samą bułkę. Po dwóch miesiącach, tj. kiedy ptaki zmienią już pierze, można przejść na samą pszenicę, tatarkę i proso. Potem już młode ptactwo chować zupełnie jak drób domowy.

Wirginijskie i kalifornijskie przepiórki uważa znany przyrodnik Karol Russ za tak wytrzymałe na zmiany powietrza i zimna północno-europejskiego klimatu, iż łatwość ich aklimatyzacyi nie ulega żadnej wątpliwości. Stwierdziły to próby, czynione w rozmaitych ogrodach zoologicznych. Wirginijska przepiórka łatwiej też zdoła się utrzymać, bo lata i ciekmie szybciej od naszej, a noc przepędza na drzewie.

Że dotychczas nie rozszerzyło się zaprowadzenie amerykańskich przepiórek w naszych rewirach, przypisuje to Russ niewłaściwemu postępowaniu przy aklimatyzacyi tychże. Dotychczas puszczano tylko wprost przepiórki owe na obranem polu, nie troszcząc się dalej, czy znajdą odpowiednie dla siebie pożywienie i siadła. Najzwyklejszym powodem nieudania się aklimatyzacyi bywa okoliczność, że gdy przepiórka wirginijska się osiedli, zagnieździ i wywiedzie młode, a otoczenie naturze jej przecież niezupełnie odpowiada, wtedy zrywa się całe stado, leci szukać lepszych warunków bytu i często o kilka dopiero mil osiada. Cóż się w takim razie dzieje? Nimrody, przyzwyczajone strzelać do wszystkiego, co tylko w powietrzu się pokaże, tłuką nieznane sobie ptactwo i aklimatyzacya skończona. Wymaga ona więc przedewszystkiem porozumienia na szerokich obszarach, aby ptaka aklimatyzowanego wszędzie ochraniano.

Baron Kramm, hodujący od pewnego czasu wirginijskie przepiórki, zapytywany przez Russa jak ptaki te przebyły ciężką zimę z r. 1892 na 1893, taką dał odpowiedź: „Ptaki przezimowały dobrze, słyszałem wabienia ich, a pod koniec czerwca widziałem samicę. Rzecz szczególna, że tej wiosny widziano tu w ogóle więcej samic niż samców. Tak np. w wielkiej bażanciej klatce mej bażantarni, w której przepiórki przeszłą zimę przebyły, a gdzie drzwiczki były otwarte, schroniło się cztery samice, a samca nie było żadnego. Co jest powodem tego przerzedzenia kogutków, nie umiem sobie wytłumaczyć, boć przecież od zimna nie mogły one ucierpieć więcej niż kury. Prawdopodobnie pociągły gdzieś dalej. Słyszałem wszkże głosy dwóch kogutów, więc jestem pewny, że nie zupełnie zginęły".

Russ uważa za konieczne, ażeby puszczając wirginianki w odpowiedniem dla nich polu, trzymać je tam zrazu w dużych, umożliwiających lot kojcach i po pierwszem przezimowaniu w tychże, dać im możność stopniowego opuszczania kojca, ale również i możność powrotu, dla poszukania żywności, schroniska przed słotami itp., aż ptaki do danej okolicy zupełnie nawykną. Rozumie się, iż oczyszczanie takiej okolicy z drapieżców czworonożnych i skrzydlatych jest pierwszym warunkiem udania się aklimatyzacyi.

Szanownych członków Towarzystwa łowieckiego, którzy za lata poprzednie i tych, którzy za rok bieżący zalegają z wkładkami, uprasza Zarząd Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie rachunku, gdyż bylibyśmy zmuszeni zaprzestać wysyłać im „Łowca“.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.